





Kraków 1997

Wydano z okazji V Zlotu Taterników-Seniorów KW w Morskim Ōku,
23-25.05.1997 jako supplment do TATERNIKA Rok 71 (1997)
z pomocą finansową KLUBU WYSOKOGŌRSKIEGO
– Kraków, POLSKIEGO ZWIĄZKU ALPINIZMU
i FIRMY TATRATOP – Warszawa

Opracowanie redakcyjne: *Barbara Morawska-Nowak*

Skład komputerowy: *Beata Chochól*

ISSN 0137-3155

Wydawnictwo PLATAN
32-060 Liszki, Kryspinów 189

60 rocznica powstania Klubu Wysokogórskiego przeszła niepostrzeżenie. Mimo, że w dawnej formie Klub przestał istnieć, nadal uważamy się za jego członków i poczytujemy to sobie za honor. Jako jego członkowie spotykamy się stale ze sobą. Ten Klub nas kształtował i myśmy go kształtowali, była to organizacja bliska naszym sercom. Trwa w nas jego etos.

W opracowaniu tym chciałam przypomnieć czym był Klub Wysokogórski jako organizacja zrzeszająca taterników polskich. Zawarłam w nim okres czasu od jego powstania w 1935 roku aż po jego reorganizację i przekształcenie się w Polski Związek Alpinizmu w 1974 roku. Chciałam poprzez zebrane tu materiały przypomnieć pewne fakty z jego historii, zachodzące w nim przemiany (może w niestereotypowym ujęciu) i ludzi, którzy tę historię tworzyli. Napewno nie udało mi się to w pełni, ale oceńcie sami czy warte to było trudu.

Barbara Morawska-Nowak

Powstanie Klubu Wysokogórskiego PTT

60 lat to już kawał historii. Wystarczająco długo, by wielu odeszło, a nieliczni pozostali nie byli już w stanie przekazać swych osobistych wspomnień. Do tego II wojna światowa i czasy, które po niej nastąpiły poplątały wiele ludzkich losów. Dlatego przypomnę powstanie Klubu Wysokogórskiego oddając głos starym zeszytom „Taternika”, które najlepiej przybliżą klimat tamtych lat.

Na Powstanie Klubu Wysokogórskiego

Polscy turyści wysokogórscy spostrzegli już z górami przed ćwierć wiekiem potrzebę i korzyści ze zorganizowania się w osobnym stowarzyszeniu. Założyli wówczas Sekcję Turystyczną przy ówczesnym Towarzystwie Tatrzańskim. Był to rok 1903.

Spśród skupionej w Sekcji elity czynnych turystów tatrzańskich bardzo szybko wyłonił się zespół taterników, a więc ludzi uprawiających turystykę wysokogórską z pobudek sportowych. Uzyskawszy w 1908 r. przewagę w Sekcji, zespół ów przekształcił ją w klub zamknięty, do którego przyjęcie uwarunkowano osiągnięciem odpowiednich kwalifikacji taternickich. Był to pierwszy, niezmiernego znaczenia przełom organizacyjny w życiu polskich taterników.

Aż do przewrotu 1918 r. Sekcja Turystyczna spełniała swoje zadania ku ogólnemu zadowoleniu. Każdy bez wyjątku taternik był jej członkiem, a szczególnie warunki w jakich żyło społeczeństwo polskie w okresie niewoli, ułatwiały skoncentrowanie organizacyjne ogółu taterników w najbliższym górom ośrodku małopolskim. Pierwsze lata powojenne przyniosły jednak wyraźne choć przejściowe osłabienie działalności Sekcji, a natomiast wyrośnięcie zupełnie nowych sił, wychowanych już w szkole nowoczesnego sportu wyso-

kogórskiego. Te nowe siły ześrodkowały się wkrótce w odrębnych klubach: w Sekcji Taternickiej Akademickiego Związku Sportowego w Krakowie (1924 r.) oraz w Sekcji Taternickiej Akademickiego Związku Sportowego w Warszawie (1927 r.), a po jej rychłym rozwiązaniu się powtórnie w Kole Wysokogórskim przy Oddziale Warszawskim PTT (1930 r.).

Ta trójtorowość taternicka – a w pewnym okresie nawet czwórtorowość, bo nie możemy zapomnieć o ośrodku zakopiańskim, który dla taternictwa ma zawsze wielkie znaczenie, i który w 1933 r. dysponował rzutką Sekcją Taternicką Klubu Sportowego „Tatry” w Zakopanem – rychło okazała się jednak dla ogółu interesów taternickich nieprzydatna, a dla wyrosłego współcześnie i z nadzwyczajną szybkością rozwijającego się alpinizmu polskiego niedogodna. Jeszcze przedtem, z chwilą dojścia do władzy w Sekcji Turystycznej PTT, młodego pokolenia (1930 r.), nowy Zarząd postawił sobie jako jeden z głównych celów dążenie do zjednoczenia polskiego ruchu wysokogórskiego. We wszystkich innych centrach nowego życia taternicko-alpinistycznego przyjęła się stopniowo ta myśl ogólnego zjednoczenia polskich turystów wysokogórskich i zarazem takiego zjednoczenia, które by uwzględniało współczesną sytuację naszego ruchu, a więc jego podział na kilka głównych skupień i jego potrzeby ekspansji egzotycznej na zewnątrz a działalności propagandowo-pedagogicznej na wewnątrz.

Dlatego poszukiwano odpowiedniej formuły uzgadniającej i odpowiedniego rozwiązania mnóstwa nasuwających się trudności. Osoby kierujące życiem organizacyjnym polskiego taternictwa i alpinizmu miały do wykonania naprawdę ciężkie choć konieczne zadanie. Chwilami zdawało się, że zjednoczenie nastąpi już lada moment, ale chwilami

rozmaite okoliczności uboczne urastały do znaczenia jakby zasadniczego i ideę zjednoczenia grzebały pozornie na długie lata.

Aż jesienią 1935 r. pracę nad zjednoczeniem doprowadzono do pomyślnego końca. Równocześnie z ukończeniem budowy nowych zasad istnienia PTT, wykończono ostatecznie organizację jego turystyki wysokogórskiej. Nie będzie już Sekcji Turystycznej, ani Koła Wysokogórskiego, ani Sekcji Taternickiej. **Od dnia 22 września 1935 r. istnieje jednolity Klub Wysokogórski**, oparty na filarach Kół miejscowych. Ogół polskich turystów wysokogórskich rozumie dobrze, że w jego życiu organizacyjnym zaszedł znowu zwrot o charakterze przelomowym.

Cudów nie ma i nie wolno ich oczekiwać. Ale z głęboką wiarą w dalszy rozwój naszych idei i dokonań witamy to zjednoczenie świata taternickiego i harmonijną współpracę jego środowisk. Nie wątpimy, że polską turystykę wysokogórską oczekuje teraz jeszcze świetniejsza przyszłość."

Z przytoczonego tekstu wynika, że zjednoczenie ruchu nie było zadaniem łatwym, istniały rozmaite animozje pomiędzy środowiskami, i wielu żał było dawnych, kameralnych form klubowych i starych układów. Mimo, iż zdecydowano, że siedziba Klubu będzie w Warszawie, żałowano dawnego Koła tamże, czemu dał wyraz Zdzisław Dąbrowski w swym przemówieniu na zebraniu likwidacyjnym Koła:

„Nie będę tu mówił ani o programie i ideologii, ani o nazwiskach i datach, ani o faktach i czynach, które w ciągu pięcioletniego istnienia Koła Wysokogórskiego przy Oddziale Warszawskim PTT nadały mu takie a nie inne znaczenie, – i taką a nie inną kazały mu w historii najnowszego taternictwa odegrać rolę. Tych kilka słów poświęcić chcę jedynie na podkreślenie tego, co w życiu wewnętrznym Koła decydującą odegrało rolę, co było życia tego momentem najbardziej charakterystycznym, i co dla pewnej, życiu Koła niejako ton nadającej grupy stało się elementem niezmi-

ernie cennym, może często twórczym, a już napewno i zawsze – najmiłszym. Mówię tu – domyślcie się – o tej naprawdę niezwyklej spójni wewnętrznej, łączącej nas, mimo takich, czy innych odchyień – w sprawach nie tylko z górami i taternictwem związanych, ale wykraczających częstokroć daleko poza rejony najistotniejszego przeznaczenia organizacji wysokogórskiej. Staliśmy się zbiorowiskiem ludzi, którzy poza zasadniczo ich łączącym umiłowaniem gór wysokich i tego, co z ich zdobywaniem związane, wnieśli do Koła całą gamę charakterów, uzdolnień, przekonań i temperamentów, nadewszystko jednak wnieśli – **młodość**. Staliśmy się doskonale znającą się i zwartą rodziną – bliższą niektórym z nas, miłszą i bardziej zrozumiałą i rozumiejącą nas, od tamtej rodziny, której prawa wyrażają się tylko węzłami krwi. Atmosfera, jaką wytworzyło Koło Wysokogórskie, posiadała zawsze to, czego nam tak bardzo zazdrościli inni: moc żywiołowości, szczerości, serdeczności i tej, dziś jeszcze nie dającej się „na zimno” tłumaczyć siły, która – ponad wszelką sympatję i przyjaźń – w górach i poza górami – zbliżała nas wzajem, łączyła i czyniła bliskimi sobie. W atmosferze tej rodziło się i dojrzewało niejedno pragnienie, realizował się niejeden czyn, wykwitła też niejedna przyjaźń... Atmosfera ta podnosiła radość triumfów, łagodziła przykrości i osłabiała dysonanse, które nie mogły przecież na dłuższą metę zagłuszać podstawowego akordu, jakim grało życie naszego Koła. Kiedyś – w przyszłości – o wiele, wiele więcej będzie można powiedzieć o tem, co przecież dzisiaj tętni jeszcze aktualnością.

Trudno jest czasem nie ulegać sugestji wewnętrznej formalistyki: Koło Wysokogórskie przestało formalnie istnieć i dlatego chyba powiedziałem wiele rzeczy w czasie przeszłym... Pocóż jednak wspomnieniem przesłaniać rzeczywistość? To wszystko przecież nie minęło bezpowrotnie – to wszystko trwa nadal i dla nas trwać będzie tak długo, jak nasza młodość!

*Koleżanki i Koledzy z „ulicy Żurawiej”!
Dzisiaj jesteście młodzi, a dominujący ton życia dawnego Koła Wysokogórskiego patronuje innej „firmie”, którą przecież my tworzymy. Ale „pojutrze” – gdy młodość nasza przemienie, i gdy następcy nasi zajmą nasze miejsca w taternictwie – napewno nieraz z wdzięcznością i sentymentem wspomnimy, że w gronie, które gwarem wypełniało warszawskie tradycyjne wieczory wtorkowe – **upływały naprawdę piękne lata naszej młodości!**”*

Wiemy już, jak przedwcześnie młodość ówczesnych kolegów klubowych została brutalnie przerwana; a po zakończeniu wojny w góry wkroczyli już inni młodzi...

Przenieśmy się jednak do Zakopanego, aby oddać głos protokolantowi **XXVI Zwyczajnego Walnego Zgromadzenia Członków Sekcji Turystycznej Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego** (część protokołu dla skrócenia tekstu została przeze mnie omówiona):

„Zgromadzenie odbyło się w dniu 22 września 1935 r. w sali Państw. Szkoły Przemysłu Drzewnego w Zakopanem, w obecności 24 członków Sekcji, oraz kilkorga gości. Przewodniczył do przerwy prof. dr W. Goetel, po przerwie prof. dr Marjan Sokołowski. Protokołował red. J. A. Szczepański. Obrady rozpoczęto o godz. 11-ej.”

Po powitaniu przybyłych, przewodniczący obrad wspomniał na niepowetowaną dla Polski stratę jaką była śmierć marszałka Józefa Piłsudskiego i zapowiedział udział Klubu wraz z całym PTT w uroczystości złożenia na kopcu na Sowińcu w dniu 19 października, ziemi zebranej w Andach, Atlasie, Spitzbergenie i Kaukazie w czasie wypraw klubowych. Wspomniał także osoby, które odeszły ostatnio – wybitnego taternika Romana Kordysa i poetę Franciszka Henryka Nowickiego, syna Maksymiliana (tego od ochrony kozic i świstaków w Tatrach). Następnie przewodniczący wygłosił sprawozdanie z działalności sekcji. Były problemy ze ściągalnością składek i szereg „członków takich, aczkolwiek z żalem, musieliśmy na podstawie statu-

tu wykreślić z naszego grona... Skutkiem tej akcji Sekcja obecnie liczy 119 członków, w czym 16 honorowych i 2 dożywotnich”. Najwięcej uwagi poświęcił Zarząd wydawaniu organu klubowego oraz organizacji wypraw klubowych w góry egzotyczne. Niestety nie udało się doprowadzić do skutku planowanych wypraw w tureckie góry Taurus ani w sowiecki Pamir. Natomiast doszła do skutku organizowana przez Koło Wysokogórskie OW PTT alpinistyczno-naukowa wyprawa w Kaukaz pod kierownictwem prof. Mariana Sokołowskiego. Z Kołem tym rozwijano żywe i jak najbardziej przyjazne stosunki. „Ostatnią wreszcie pracą, której Zarząd poświęcał wiele trudu i uwagi, było tworzenie Klubu Wysokogórskiego, jako organizacji skupiającej ogół polskich turystów wysokogórskich...”

Dziwnym czy nierealnym wydać się dziś może stanowisko, że „*prywatne starania o organizację alpinistycznych wypraw egzotycznych poza ramami Sekcji wzgl. powstającego Klubu Wysokogórskiego, nie powinno mieć miejsca*” oraz uchwalony wniosek dra K. Piotrowskiego: „*Walne Zgromadzenie wyraża przekonanie, że alpinistyczne wyprawy pozaeuropejskie, winny być organizowane przez Klub Wysokogórski, który musi mieć decydujący wpływ na wybór celów i skład personalny wyprawy*”.

„...Przystąpiono do spraw statutowych i reorganizacyjnych. Przewodniczący stwierdza, że na sali znajduje się wystarczające w myśl przepisów statutu quorum członków do przeprowadzenia prawomocnie zmian statutu. Projekt nowego statutu, który przedkładamy Walnemu Zgromadzeniu, opracowany został przez J. A. Szczepańskiego. Uwzględniono w nim zarówno wszystkie wymogi nowego statutu PTT, jak i dawniej wysuwane postulaty Walnego Zgromadzenia. Poza to skorzystał autor statutu z cennych uwag dra T. Bernadzikiewicza, dra J. K. Dorawskiego i mgra W. Krygowskiego, sekretarza gen. PTT i referenta spraw statutowych w PTT. Statut ten ostatecznie inauguruje istnienie Klubu Wysokogór-

skiego i ustala nową jego organizację. Po uchwaleniu techniki głosowania nad statutem referent J. A. Szczepański rozpoczął czytanie odpowiednich paragrafów, nad którymi odbywała się kolejno dyskusja i głosowanie... przyjęto uchwaloną całość statutu w głosowaniu en bloc". „... Po krótkiej przerwie przystąpiono do wyborów nowego Zarządu. Przewodniczący prof. dr Goetel składa imieniem dotychczasowego Zarządu oświadczenie, że jego grupa krakowska, doceniając wysiłki i starania warszawskiej grupy członków i uznając lojalnie, że większość czynnych taterników skupiona jest dziś w Warszawie, porozumiała się z warszawskimi kolegami z Zarządu w sprawie zaproponowania Walnemu Zgromadzeniu przeniesienia Zarządu Klubu do Warszawy, z tem, że redakcja „Taternika” pozostanie w dotychczasowych rękach. W związku z tem przedkłada przewodniczący imieniem ustępującego Zarządu listę proponowanego nowego Zarządu w składzie następującym: Prezes: prof. dr Marjan Sokołowski; I-szy Wiceprezes: dr Jan Kazimierz Dorawski; II-gi Wiceprezes: Justyn Wojsznis; Członkowie Zarządu: dr Tadeusz Bernadzikiewicz, inż. Jakób Bujak, Wiktor Ostrowski i Jan Alfred Szczepański (zarazem redaktor „Taternika”). Lista ta zostaje przyjęta przez aklamację. Następnie wybrano przez aklamację Komisję Rewizyjną w składzie: inż. Adam Karpiński, Bohdan Małachowski i prez. Stanisław Osiecki oraz zastępcy: dr Ludwik Gorski i Zdzisław Ritterschild.

Wśród wolnych wniosków uchwalilo Walne Zgromadzenie rozdzielenie administracji „Taternika” od administracji Klubu oraz wyodrębnienie rachunku „Funduszu alpinistycznego im. M. Świerza” administrowanego przez Klub. Na wniosek dra T. Zwolińskiego poleciło też Walne Zgromadzenie nowemu Zarządowi opracowanie i stworzenie nowej, numerowanej odznaki klubowej.

Na tem przewodniczący prof. dr M. Sokołowski zamknął zebranie o godz. 15.30.”

Przytoczę w tym miejscu, jakie były główne założenia uchwalonego Statutu:

„Klub Wysokogórski PTT jest zjednoczeniem w łonie PTT trzech najstarszych organizacji wysokogórskich t.j. Sekcji Turystycznej PTT, Sekcji Taternickiej AZS w Krakowie i Koła Wysokogórskiego przy Oddz. Warszawskim PTT; jest osobą prawną i ma jako siedzibę miasto stołeczne Warszawę. Wśród celów Klubu wymienione jest m.in. organizowanie oficjalnych wypraw Klubu w wysokie góry poza granicami Polski, tudzież popieranie takich wypraw, organizowanych z cudzej inicjatywy. Członkowie Klubu dzielą się na honorowych, zwyczajnych i uczestników, przyczem w miejscowościach, gdzie znajduje się przynajmniej 6 członków zwyczajnych Klubu, może z inicjatywy tychże i za zgodą Zarządu Klubu powstać Koło miejscowe: Koła takie nie są osobami prawnymi i rządzą się samodzielnie na zasadzie regulaminu; każdy członek Klubu musi należeć do jakiegoś Koła miejscowego wedle swego wyboru. Członków zwyczajnych przyjmuje Zarząd Klubu, uczestników Zarząd Koła. Zarząd Klubu składa się z prezesa, dwu wiceprezesów i czterech członków Zarządu – wybieranych przez Walne Zgromadzenie, a dalej z dwu delegatów dwu najliczniejszych Kół miejscowych Klubu. Ponadto Zarząd Główny PTT wysyła do Zarządu swego delegata z głosem stanowczym. Zarząd wybierany jest na jeden rok. Walne Zgromadzenia odbywać się będą w miesiącach letnich w Zakopanem.”

Wkrótce potem odbyły się zebrania założycielskie Kół miejscowych.

- **Koło Zakopiańskie KW PTT powstało 12 stycznia 1936 roku jako pierwsze.** Prezes: Zbigniew Korosadowicz, sekretarz – Włodzimierz Firsoff, skarbnik i gospodarz – Witold Paryski. Liczyło 12 czł. zw. i 3 czł. uczest.
- **Koło Warszawskie KW PTT powstało 30 stycznia 1936 roku.** Prezes: Maciej Zajączkowski, sekretarz – Zdzisław Dąbrowski, skarbnik – Józef Orenburg, gospodarz – Justyn Wojsznis, bibliotekarz – Róża Drojcka. Liczyło 7 członków hono-

rowych, 72 – zwyczajnych (w tym 21 spoza Warszawy) i 14 uczestników.

Koło Krakowskie KW PTT powstało 17 lutego 1936 roku. Prezes: Adam Sokołowski, sekretarz – Jan Alfred Szczepański, skarbnik – Jan Kazimierz Dorawski, gospodarz – Jan Kazimierz Petecki, bibliotekarz – Stanisław Groński. Liczyło 8 członków honorowych i 51 zwyczajnych (w tym 26 spoza Krakowa).

Do wybuchu II wojny światowej istniały tylko te trzy Koła. Wg stanu na dzień 31.03.1936 roku KW PTT liczył 167 członków, w tym 15 honorowych, 138 zwyczajnych (w tym 2 dożywotnich dawnej ST PTT: Aleksander Znamięcki K/W-wa i Teofil Janikowski K/K-ów) i 14 członków uczestników.

Już w następnym numerze Tatarnika wystąpił nowy Prezes KW, prof. Marjan Sokołowski* z artykułem programowym, którego fragment przytaczam:

„Polskie tatarnictwo stanęło obecnie na zwrotnym punkcie. Na tę szczególnie wielką wagę chwili wpływają dwie okoliczności. Pierwsza to powstanie Klubu Wysokogórskiego. Ma on przed sobą nader liczne i trudne zadania do spełnienia. Unifikacja, racjonalny rozwój tatarnictwa, organizacja wycieczek treningowych w Alpy i wypraw egzotycznych, akcja wydawnicza, odczytowa, łączność z zagranicą, ochrona Tatr – oto nagłówki dużych rozdziałów przyszytych zajęć Klubu. Jest ich praw-

dziwy nawał, to też nowo obrane władze Klubu przystąpiły niezwłocznie do intensywnej pracy, wciągając do niej wszystkie dotychczasowe ośrodki ruchu tatarniczkiego w kraju i dążąc do stworzenia nowych. W poczuciu wielkiego zadania, jakie ma do spełnienia i wielkiej odpowiedzialności, jaka na niem spoczywa – Klub wzywa wszystkich swych członków i sympatyków tatarnictwa do współpracy i pomocy, tak potrzebnej szczególnie w trudnych początkach. Z tych samych względów Klub nie cofnie się przed jak najbardziej stanowczą reakcją na wszelkie próby jakichkolwiek przeszkód w pracy, siania niezgody, mącenia i psucia opinii publicznej i czynienia dywersji w organizacji. Zdajemy sobie przecież wszyscy sprawę z tego, że ogrom pracy, jaki mamy przed sobą, nie może być wykonany zaraz, w ciągu paru tygodni czy miesięcy, że wyniki jej nie zadowolą napewno wszystkich – ale też uznajemy przecież możliwość czy to osobistego porozumienia się z władzami Klubu, czy to rzeczowej dyskusji na łamach prasy, zwłaszcza fachowej. Twórcza i rzetelna praca, a nie jałowe mielenie słów i rzucanie sobie kłód pod nogi – oto nasze pierwsze aktualne hasło.”

Wyboru tekstów z Tatarnika rok XX (1935/36) z. 1, 2 i 5 z zachowaniem ówczesnej pisowni dokonała i powiązała je ze sobą Barbara Morawska-Nowak.

* Marjan Sokołowski, botanik i leśnik, prof. SGGW był prezesem KW w latach 1935–36 i następnie 1937–39. Zmarł 18.01.1939 roku w wieku 45 lat! W międzyczasie (1936–37) prezesem był inż. Stefan Bernadzkiiewicz, zginął w wieku 32 lat w czasie pierwszej polskiej wyprawy w Himalaje

Pokutnicy i Krakowska Szkoła Wspinaczkowa

Krakowską Szkołę Wspinaczkową powołali w okresie okupacji Pokutnicy w Skałkach Podkrakowskich³. To oni w artykule ogłoszonym w "Pokutniku"* deklarowali chęć roztożenia opieki nad uzdolnionymi adeptami służąc im czasem i sprzętem. "Szkoła ma dać kandydatom" – jak piszą – "wYROBIENIE sportowe i WYSZKOLENIE techniczne ucząc nie tyle wspinaczki w szerokim zakresie wysokogórskim co techniki wspinaczkowej. Zajęcia prowadzone w szerokim zakresie" – mają odbywać się w Skałkach – "bez względu na warunki atmosferyczne i trudności skalne". Biorąc pod uwagę zróżnicowany poziom podopiecznych określono trzy grupy zaawansowania: **Adepta**, **Łazika** i **Pokutnika**. Od **Łazika** czy **Pokutnika**, bo **Adeptem** stawał się każdy przyjęty do Szkoły, wymagano przejścia na pierwszego wyznaczonych dróg wspinaczkowych zarówno w Skałkach jak i w Tatrach. Jak na stosunki klubowe wymagania techniczne były ostre. I tak **Łazik** musiał mieć za sobą przejścia skałkowe w skali nadzwyczaj trudnej, a w Tatrach drogę typu Kozi Wierch pn. filarem. Natomiast **Pokutnik** miał się legitymować przejściem pod ścianą Zamarłej Turni

w Tatrach. Do Szkoły miano przyjmować tylko osoby wprowadzone przez jednego z członków posiadających stopień **Pokutnika** lub **Łazika**. Artykuł zamyka stwierdzenie: "...Przez otwarcie naszej Szkoły, która... wielu wprowadziła w świat gór daje się wszystkim okazję do wzięcia w rękę liny, młotka i haka".

Pisząc w tekście Szkoła mam na myśli nie tyle Szkołę jako taką, ale wypracowaną w Dolinkach przez Pokutników technikę wspinaczkową, na szeroką skalę dopiero po wojnie.

* * *

Pokutnicy nie byli pierwszymi taternikami, którzy wspinali się w skałkach**, ale to oni pierwsi wspinaczkę w Dolinkach Podkrakowskich traktowali nie tylko jako działalność uzupełniającą czy zastępczą w stosunku do Tatr, lecz rozpoczęli systematyczną eksplorację tych Skałek prowadzoną z wszystkimi wymogami taternickiej sztuki. Eksploracja ta zmuszała ich do rozwijania skalnej techniki wspinaczkowej, a technikę tę następnie z powodzeniem wykorzystywali gdzie indziej. Na tych urwiskach wapiennych rodził się m.in. "podciąg", który otworzył im drogę do sukce-

* "Pokutnik" – pismo łączęgów górskich i łażików skalnych dolinek podkrakowskich. Wydawanie powielaczowe. Numery 1 i 2/3 ukazały się w czasie okupacji, numer 4 w 1948 r.

** Pierwszymi taternikami działającymi w Skałkach była grupa Krakowian, która w 1908 r. pod wodzą J. Chmielowskiego wybrała się do dolinki Mnikowskiej. W dolince tej poprowadzono dwie drogi, w tym. tzw. Komin Chmielowskiego. W okresie przed pierwszą wojną światową młodsi jeszcze was taternicy z "Kilimnadżaro Klub" (F. i W. Goetlowie, W. Kulczyński, M. i T. Świerzowie) odbyli kilka wycieczek do tej dolinki. E efekcie przybyła w niej jeszcze jedna droga: rysa Kulczyńskiego. To cały dorobek tzw. okresu Mnikowskiego. Po wojnie ok. 1925 r. w skałkach działali taternicy z Sekcji Taternickiej PTT (bracia J. i A. Szczepańscy, J. K. Dorawski, W. Marcinkowski, A. Sokołowski oraz K. Walisch). Działali oni głównie w dol. Bolechowickiej, ale odwiedzali także inne doliny: Kobyłańską, Będkowską i Szklarki. To oni wprowadzili nazwę Skałki Pokrakowskie lub Alpy Podkrakowskie. Osiągnięcia ich to niewielki krok naprzód w stosunku do poprzedniego okresu. Ich szczytowe osiągnięcia to Rysa Wallischa oraz Rysa Sokołowskiego na Bodziu. Negatywne było stosowanie przez nich górnej asekuracji.

sów w Tatrach i Alpach. Ich wychowankowie przejęli etos Pokutników i wypracowaną przez nich nowoczesną technikę wspinaczkową. Oni z kolei z początkiem lat pięćdziesiątych jako instruktorzy na kursach ogólnopolskich i środowiskowych rozpowszechnili tę technikę w całym środowisku klubowym. To z kolei pod koniec lat pięćdziesiątych umożliwiło naszym taternikom nawiązanie kontaktu z europejską czołówką alpinistyczną.

Muszę podkreślić, że dla Pokutników Skałki nie były nigdy tylko poligonem przed działaniami w górach wyższych ale równorzędnym obiektem działań wspinaczkowych. Obiektem, który urzekł ich swoim pięknem i któremu pozostali wierni do końca życia.

* * *

Pod nazwą Pokutnicy nadaną przez mieszkańców podkrakowskich Bolechowic* kryje się grupka krakowskich wspinaczy i taterników: Adam Górka, Czesław Łapiński, Kazimierz Paszucha, Marian Paully i Tadeusz Marcinkiewicz. Wywodziła się ona z krakowskiej YMCA. W trakcie niedzielnych wędrówek po okolicach Krakowa (byli aktywnymi członkami sekcji turystycznej tej organizacji) trafili w jurajskie Dolinki Podkrakowskie, które ich urzekły na całe życie. W Skałkach około 1928 roku zetknęli się z taternikami z Sekcji Taternickiej AZS, m.in. z Włodzimierzem Marcinkowskim i zainteresowali się wspinaczką. Na pierwszą drogę wspinaczkową w Tatrach wybrali się w roku 1929. Była to pn ściana Mięgoszowieckiego Szczytu. Ku swemu zaskoczeniu przeszli ją bez użycia liny, co

biorąc pod uwagę ich sprawność fizyczną i kondycję nie dziwi. Jako czynni sportowcy mieli dobre przygotowanie ogólne i wytrzymałość**. To był początek działalności tatrzańskiej Pokutników, który część publikacji przesuwają na rok 1931, a nawet 1934.

Działalność taternicka Pokutników, jak pisze R. W. Schramm, rozwijała się „... nieco na uboczu właściwego nurtu wielkich zdobyczy, dosyć wolno, lecz bardzo systematycznie, by poprzez tak piękne powtórzenia jak przejście uskoku Wschodniego Szczytu Żelaznych Wrót lub 2-gie przejście, a pierwsze w całości drogi Stanisławskiego na Małym Kieźmarskim sięgnąć w latach poprzedzających wojnę do najwybitniejszych zdobyczy letnich i zimowych”.²² Utało się przekonanie, że Pokutnicy to wspinacze skalni. Tymczasem o I zimowym przejściu pn ściany Galerii Gankowej dokonany w 1939 r. ostatni przed wojną redaktor Taternika, Zdzisław Dąbrowski, pisze: „...Szczególnym rozmachem wyróżniło się I wejście zimowe pn. ścianą Galerii Gankowej dokonane 13 kwietnia przez dr W. Gosławskiego i K. Paszuchę z Krakowa. Przejście urwiska... odbyło się w pełnych warunkach zimowych i poprzedzone zostało próbą, którą 10 kwietnia podjęli W. Gosławski, Z. Korosadowicz, K. Paszucha i M. Paully... Pokonanie zimą pn. zerwy Galerii Gankowej, jedna z najwybitniejszych rzeczy zimowych, jakich dokonano w Tatrach jest godnym podkreślenia i uznania świadectwem rozmachu nowej zimowej generacji polskich taterników”.⁴

Dorobek górski wspinających się poza klubem Pokutników zaowocował. Zarząd Koła

* Pokutnikami przezwana w okresie okupacji babcia Kozerowa z Bolechowic grupkę wspinaczy, którzy bez względu na pogodę i porę roku, obwieszeni i dzwoniący hakami działali w sąsiadującej z wsią dolinie. „Dobre chłopaki, takie to jeszcze młode, a ponieważ się po tych skałach, jak pokutniki” – miała powiedzieć (patrz: Pokutnik 2/3 s. 9). Wspinający się od lat po dolinkach niesformalizowany zespół przyjął tę nazwę. Na temat jego składu wypowiada się Paszucha: „Rozpoczęliśmy w piątkę i do dziś jesteśmy w tym składzie poza chwilowym brakiem jednego” (Paullego przebywającego w obozie jenieckim). „W całym dziesięcioletnim okresie przewinęło się z nami wielu zapaleńców tego sportu. Nie pozostał żaden.” (Dolinkom i ich skałkom. Sygnowane A(baz) – przydomek Paszuchy. Pokutnik nr 1 s. 1)

** Grali i to jak w koszykówkę (występowali w drużynie, która zdobyła mistrzostwo Krakowa, a następnie Polski. Paully był w 1933 r. w. mistrzem Krakowa w pływaniu ma 200 m, a Górka uprawiał gimnastykę.

Krakowskiego KW poprzez swego wiceprzewodniczącego Wiesława Gosławskiego i zapewne inspiratora, jako że był partnerem Pokutników, zaproponował im wstąpienie do Koła. Akces do Klubu Wysokogórskiego PTT wszyscy Pokutnicy tj. Górka, Łapiński, Marcinkiewicz, Paszucha i Paully oraz wspinający się samopas po dolinkach Mieczysław Babiński zgłosili w marcu 1939 r. Przyjęto ich na członków zwyczajnych Klubu.

W drodze Pokutników w Tatry istotną drogę odegrały Skałki, a używając ich określenia Dolinki Pokrakowskie. To poprzez nie wiodła ich droga w Tatry. Te wapienne skałki były dla nich nie tylko doskonałym terenem ćwiczebnym i szkoleniowym, ale o czym dalej, celem samym w sobie. W łatwo dostępnych dolinkach, a nie w odległych Tatrach, rozgryzali i doskonalili technikę wspinaczkową.

"Otrzymujemy częste pytanie czy nam się dolinki nie znudziły. Otóż nie i mówimy to z całym przekonaniem, przecież mamy ich dzieśięć o najrozmaitszych kształtach i wygładzie, ponadto każda z nich w czterech porach roku ma odmienny urok. Cały okres byliśmy niestrudzeni w łażeniu, deszcz czy zimno, jechaliśmy; jedynie specjalne uroczystości, zawody sportowe czy egzaminy uniemożliwiały pobyt w niektóre niedziele. Wspinaczka niedzielna trwa średnio 5 godzin, a w roku odbywamy ich około 25. ... Zrozumiałe jest, że mamy przez to dużą rutynę, całą masę doświadczenia skalnego pisze z perspektywy dziesięciu lat, w okresie okupacji Paszucha⁵.

To w Skałkach nastąpiło przekształcenie łażników górskich i turystów wysokogórskich w późniejszych zdobywców największych zerw tatrzańskich i eksploratorów Dolinek Podkrakowskich. Sądzę, że przełomem w ich życiu górskim było wejście w 1932 r. dokonane przez A. Górkę i M. Paullego na niezdo- bytą iglicę w dol. Będkowskiej zwaną wówczas Turnią ST AZS. Zdobycie tej iglicy i to w sposób zgodny z taternickimi wymogami, a więc z dolną asekuracją – celu sztandarowego, a nie osiągniętego przez poprzedników z Sekcji Taternickiej AZS, którzy w Skałkach

wspinali się tylko z górną asekuracją było też przełomem w ówczesnym taternictwie.

"Dawniej – pisał Paszucha – "zdobywano jedynie kominy i rysy ...wpatrzeni w ryse, jedną z najpiękniejszych, widzimy Mariana, który przez jej pokonanie wprowadził przewrót... Pękła droga, którą uważano za niemożliwą do przejścia. Początek zrobiony... Niemożliwe stało się możliwym" Odtąd pokonywanie niemożliwego stało się motorem ich działania. "Pękać zaczęły wszystkie rysy..." a następnie "najpierw krótkie ścianki, potem dłuższe, w końcu przewieszzone... Mieliliśmy w tym niemal zwierzęcą przyjemność".⁵

Zasmakowali w tej walce ze skałą i sobą, a zwycięstwo dopingowało do postawienia kolejnego, trudniejszego celu. Tak rodził się postęp techniczny otwierający nowe możliwości i postępowała eksploracja wspinaczkowa Dolinek. W tej ewolucji nie tylko doskonale, w pełni samodzielnie opanowali klasyczną technikę wspinaczkową, ale przenieśli na grunt polski wypracowaną w Dolomitach technikę hakową z jej ówczesnie najwyższą formą "seilzugiem", którą to nazwę spolszczyli na "podciąg".

Opanowanie podciagu tylko w oparciu o literaturę alpinistyczną oraz parę krótkich pętli, jakie z Dolomitów przywiózł Babiński nie było łatwe. Brakowało wzorów i sprzętu.

"Historia wprowadzania tej techniki to jedna wielka gehenna... zwłaszcza początkowo. Tysiąc razy byliśmy zrazeni, wiele było przy tym cierpień i przekleństw. Na upartego nie ma lekarstwa, a tych upartych było pięćciu" (wśród nich na szczęście Adam Górka – ślusarz-mechanik, wykonawca specjalistycznego sprzętu). *"Najistotniejsze, że zaczęto przechodzić urwiska, które kiedyś przerażały, a dziś z całą swobodą i pewnością, delektując się ekspozycją wspinacz idzie poprzez ścianę, gdzie jedynie ptactwo miało dostęp".⁵* Przy- swajanie tej techniki zaczęło się w 1936 r. kiedy metodą tą pokonano niewielkie ścianki, a trwało po pierwsze lata okupacji kiedy prze- byto największe zerwy Dolinek z siedemdziesięciometrową ścianą Sokolicy w dol. Będko-

wskiej łącznie. Na tym największym urwisku Skatek poprowadzono trzy drogi. Zamknęło to etap podboju Dolinek.

Lata okupacji nie przerywają działalności górskiej Pokutników. Nie uczestniczy w niej jedynie przebywający w obozie jenieckim Paully. O tych ciężkich latach pisze Paszucha:

*“Minął koszmar okropnych lat... Mimo złych czasów przynajmniej co drugą niedzielę piechotą czy też rowerem biegliśmy w nasze skałki podkrakowskie. Zawdzięczamy tym skałkom dużo. Praca w skale zmusza do myślenia i wysiłku, jak różnym to było od codziennej roboty przybitej troską o byt i własne życie. Doszliśmy przez to do dużej wprawy chodzenia po wapieniu. Wtedy właśnie robiliśmy najtrudniejsze wspinaczki, ćwiczyliśmy z ukrytą myślą o Mnichu i jego wschodniej ścianie, a po jego osiągnięciu o zerwach Galerii Gankowej... Co rok, to może dla niektórych brzmi niewiarogodnie, byliśmy w Tatrach. Lecz żeby w nich być iluż i jak bardzo wykrętnych używaliśmy sposobów... Każdemu wyjazdowi w Tatry towarzyszyła myśl, że może to ostatni raz.”*⁵

W tym trudnym okresie Łapiński i Paszucha realizują tatrzańskie marzenia. Zdobywają nie tylko pn-wsch ścianę Mnicha ale i dalsze urwiska. Jak pisze R. W. Schramm: *“ściany, wobec których bezsilna była klasyczna technika, a nawet pierwociny podciągowe zakopiańczyków... Po szczegółowej penetracji w lipcu 1942 roku Paszucha i Łapiński atakują, odpierając dotychczas wszystkie próby zdobycia, górną część północnowschodniej ściany Mnicha i stosując na przestrzeni kilkudziesięciu metrów po raz pierwszy w Tatrach technikę hakową, zdobywają tę ścianę prawą połacią. Przy okazji popukali trochę z boku i w niedługim czasie swastyka spadła. W dwa tygodnie później (powinno być tydzień) dodają do tego sukcesu nie mniejszy – zdobycie północno-wschodniej ściany Kazalnicy, wiszącej wprost nad tonią Czarnego Stawu nad Morskim Okiem. W następnym roku ci sami zdobywają urwistą ścianę mniejszego sąsiada Mnicha – Mniszka, a wreszcie w sierpniu przechodzą*

środek północnej ściany Galerii Gankowej, drogą o ogromnych trudnościach, prostą jak strzała, rozwiązującą idealnie i definitywnie problem tej wspaniałej, najoryginalniejszej w Tatrach pionowej trzystu-metrowej ściany”.²²

Okupacyjne dokonania Łapińskiego i Paszuchy to przełom. Trzy z pokonanych w tym okresie dróg: pn-wsch ściana Mnicha, pn-wsch Kazalnicy oraz pn urwisko Galerii Gankowej, rekordowe osiągnięcia Łapińskiego i Paszuchy w zakresie wspinaczki skalnej, przebyte podciąganiem, przesuwają granice możliwości taternickich. Ustawiają je na tak wysokim pułapie, że pierwszą z tych dróg powtórzono dopiero po 10-ciu latach, a pułap przekroczone w 1955 r. Ten kolejny przełom – następstwo wprowadzenia w technikę wspinaczkową osadzanych w wierconych otworach specjalnych haków (co umożliwiło pokonywanie całkowicie pozbawionych rzeźby odcinków) – otworzyło przejście środka pn-wsch ściany Mnicha wariantem “R” oraz lewej depresji pn-wsch ściany Kazalnicy. Przejście Mnicha wariantem “R” zakończyło “okres Mnicha”, a otworzyło “okres Kazalnicy”. Na to urwisko bowiem przerzuciły się zainteresowania czołówki taternickiej.

* * *

Okupacyjne osiągnięcia Łapińskiego i Paszuchy wywołały burzę. Starsze pokolenie, które nie było w stanie włączyć się w rywalizację na tatrzańskich ścianach, zapatrzone w nieosiągalny w tym czasie egzotyki, zgadzało się ze znanym alpinistą E. G. Lammerem, który wiosną 1937 r. ostro wystąpił przeciwko alpinizmowi sportowo-wspinaczkowemu stwierdzając, *“że nie widzi w nim żadnego postępu, przeciwnie, na każdym kroku odwrót i zapędzanie się w ślepią ulicę bezdusznej i oddalającej uczuciowo i etycznie od gór akrobacji skalnej... zagubionego bez ratunku na manowcach sportu ślusarskiego i pseudo postępu”*.¹⁵ O nasileniu tej burzy wnioskować możemy na podstawie odpowiedzi atakowanych, zamieszczonych w wydawanym przez nich na powielaczu “Pokutniku”. Redaktorzy w nu-

merze pierwszym pisał: *"Zeszyt ten został napisany dla włóczęgów górskich i lazików dolinkowych oraz dla młodych miłośników wspinaczki. Przez powyższych będzie jedynie zrozumianym i doda bodźca do dalszej pracy"*¹⁵. Jak sądzę, pismo to było forum, na którym mogli wyłożyć swoje racje.

Pismo to z punktu widzenia literackiego nie prezentowało wysokiego poziomu, ale jak pisze J. K. Dorawski... *"niezależnie od tych czy owych usterek każdy taternik z ciekawością przeczuci stronicę tego pisma, a nawet powróci do nich, gdyż przepojone są prawdziwą miłością do gór i przyrody."*

Zacytuje zamieszczony w nim apel Paszuchy... *"Pozbądźmy się podziałów, uczynmy jednolitymi nasze myśli, niechaj góry będą zdobywane... a przy użyciu jakich środków, czy klasycznie, czy inaczej, to niechże to będzie zupełnie sprawą drugorzędną... W ką wszelkie zastrzeżenia – to nie powinno się tak robić tylko tak – ... Róbmy wszyscy jak uważamy, jakie mamy poczucie honoru, takie będą efekty prac górskich. Prawdziwi turyści to albo miłośnicy gór, przyrody albo wspinacze szukający jedynych w swoim rodzaju, twardej niejednokrotnie przeżyć. Przyczym drudzy są również pierwszymi. Wspinacze, którzy wybrali cel, muszą zreformować poglądy. Precz z babskim gładzeniem o tych sprawach, powiedzmy sobie raz, jesteśmy ludźmi z ikra i krzepą, dążymy do jednego celu wszyscy, po cóż i o co się sprzeczać. Biermy przykład z terenu alpejskiego... Najtrudniejsza ściana pn Eigeru była częściowo zdobyta techniką hakową, czy w ogóle podniósł ktoś głos, że tak się nie powinno zdobywać... Słowo "zdobyć" jest wystarczającym i zakańczającym pojęciem... To nam wynagradzać winno wszystko. Przetrzeźbmy zatem nasze pojęcia, serca i umysły, zgódźmy się... wszak jesteśmy jednego ducha i jednej miłości górskiej."*¹⁴

Pod koniec wojny Łapiński i Paszucha, delegowani przez W. Goetla, wyruszyli w góry aby zabezpieczyć schroniska tatrzańskie. W efekcie Łapiński został wieloletnim kierownikiem schroniska nad Morskim Okiem (nawet

po przejściu na emeryturę bywał w nim często wspomagając syna Wojtkę i jego żonę Marysię, którzy po nim zostali gazdami tego ważnego dla taterników obiektu), a Paszucha przez trzy lata (do 1948 roku) prowadził schronisko w Roztoce. Do Krakowa powrócił wraz z A. Górką, który pomagał swym przyjaciółom w prowadzeniu obu schronisk. Stały pobyt w Tatrach nie zwiększył ich aktywności wspinaczkowej. Raczej odwrotnie. Obowiązki nie pozwalały na zbyt częste urywanie się w góry. Dolinki odwiedzali sporadycznie. Zmieniły się także ich zainteresowania taternicze. Może dlatego, że zrealizowali już swój program podciagowy? A może przystosowali się do ówczesnych tendencji klubowych, preferujących nie tyle przejścia o ekstremalnych trudnościach, co poważne tury wymagające dobrej kondycji i wytrzymałości? Ich czołowe przejścia z tego okresu to I przejście grani Tatr Wysokich od Przełęczy pod Kopą do Liliowego w 1946 r. i I zimowe przejście grani Tatr Zachodnich od Kasprowego po Salatyński Wierch z kwietnia 1948 r.

Ukoronowaniem działalności wspinaczkowej Łapińskiego i Paszuchy było przejście w trakcie klubowego wyjazdu w Alpy w 1947 r. północnej ściany Aiguille du Petit Dru. Urwisko to należało w tym czasie do najslawniejszych w masywie Mont Blanc. Było to wprowadzie XXXII przejście tej drogi, ale *"sława tej wspaniałej ściany przyciągała prawie wszystkich alpinistów francuskich, zdolnych do jej pokonywania"*¹⁸. Przejścia tego u nas nie doceniono stawiając wyżej dokonane w trakcie tego samego wyjazdu trawersowanie grani Grandes Jorasses. W okresie tym w polskim środowisku wysokogórskim rolę dominującą i opiniotwórczą wiodli taternicy ideowo związani z okresem międzywojennym, lansujący obowiązujące wówczas kierunki. Naturalnym jest, że traktując Alpy jako etap w drodze ku górom najwyższym preferowano przejścia długie będące egzaminem nie tyle techniki wspinaczkowej, co wytrzymałości. A północna ściana Petite Dru była drogą estymalną. Jej przejście udowodniło, że dwójka ta

zrealizowała ujęty w deklaracji ideowej cel: *"ćwiczymy więc po to, aby móc technikę wspinaczkową przyrównywać do tej szczytowej, jaką na zachodzie uprawiają"*. Sądzę, że Pokutnicy zdali alpejski egzamin. Dodam, że ścianę zaatakowano w nienajlepszej formie, w trzy tygodnie po próbie, w czasie której Paszucha uległ w lawinie kamiennej poważnej kontuzji (stłuczenie prawego stawu barkowego, z naruszeniem torebki stawowej i pęknięciem kości ramieniowej).

* * *

Szkolenie skałkowe na szerszą skalę ruszyło po wojnie i to w początkowej fazie przy ograniczonym udziale Pokutników. Łapiński i Paszucha w skałkach pojawiali się sporadycznie. Także i ich bezpośredni wychowankowie: Adam Dobrowolski, Zbigniew Krysa i Stanisław Szpil startujący na studia rządziej bywali w Dolinkach. Zorganizowane szkolenie skałkowe typu kursowego rozpoczęło się dopiero wiosną 1946 r. Wprawdzie rok wcześniej działała w Dolinkach w miarę regularnie grupka adeptów. Była to czwórka: Krystyna Hellerówna, Andrzej Hrebenda, Juliusz Szumski i Stanisław Worwa, która już wcześniej ze sznurem od bielizny wspinała się, pozatem kilku harcerzy, wśród których byłem i ja oraz wspinający się dotychczas samopas Fryderyk Kędzior zwany Papą. Kędzior w tym czasie nie miał kwalifikacji instruktorskich i mierne umiejętności wspinaczkowe. Pierwsi powojenni adepci, a wraz z nimi Kędzior prawidłową technikę wspinaczkową poznali wspinając się z Pokutnikami w Tatrach, a doskonalili w trakcie treningów w Skałkach. Harcerzom w lipcu drużyna zorganizowała obóz w Morskim Oku, w trakcie którego wspinali się z Adamem Dobrowolskim i Kazimierzem Paszuchą. Reszta działała w Tatrach, w sierpniu także w Morskim Oku zapisując na swe konto kilka przejść dokonanych wraz z Dobrowolskim, Łapińskim, Paszuchą i Paulym. Pauly wspinał się z tą czwórką i w następnych sezonach. Z czwórki tej – jako że z harcerzy tylko ja i to dopiero po czterech latach

wróciłem do taternictwa – wywodzili się prowadzący zajęcia praktyczne na kolejnych kursach skałkowych. Natomiast Kędzior, bez sportowych ambicji, typowy działacz w dobrym tego słowa znaczeniu, stał się etatowym, chociaż społecznym organizatorem i kierownikiem kursów skałkowych środowiska krakowskiego, a potem kierownikiem referatu szkoleniowego Zarządu Koła Krakowskiego, a nawet Zarządu Głównego KW PTT.

W pierwszym kursie skałkowym zorganizowanym przez Kędziora w 1946 r. asystentami instruktora byli Hellerówna i Worwa, a wśród uczestników znaleźli się Andrzej Nunberg, Juliusz Szumski i Jerzy Woźniak, którzy jak pisze Kędzior *"z własnej woli poddali się rygorom oficjalnego kursu"*. W zajęciach uczestniczyło 14 osób, a kurs ukończyło 9. Ścisłej, gdy nie uwzględnimy wyżej wymienionej trójki – 6-cioro (M. Kępa, bracia Karol i Zdzisław Jakubowscy, Andrzej Manda, Waclaw Nowyk, Krzysztof Tatarkiewicz). Kurs jak podawał Bohdan Małachowski w sprawozdaniu w działalności Koła Krakowskiego na Walnym Zejeździe Klubu w 1946 r. był imprezą klubową, a nie jak pisze Kędzior Krakowskiego Oddziału PTT.

W 1947 roku zmienił się – a to istotne – sposób naboru na szkolenie. Ogłoszenia o przygotowywanym kursie wywieszono na uczelniach i w lokalach PTT. Ten otwarty sposób naboru otworzył drogę do Klubu młodzieży nie mającej wcześniej kontaktu ze środowiskiem wysokogórskim. A przynajmniej w środowisku krakowskim zainteresowanie taternictwem było duże. Na kurs teoretyczny, który poprzedzał zajęcia w Skałkach zgłosiło się 136 osób! O zakwalifikowaniu na kurs skałkowy decydował więc egzamin, który brał pod uwagę doświadczenie turystyczne kandydata i znajomość Tatr. Na kurs praktyczny przyjęto 37 osób, który ukończyło 17 osób, w tym 4 kobiety. Instruktorami na kursie byli: Hellerówna, M. Mischke, Paszucha, Worwa i Woźniak.

Do tego roku szkolenie skałkowe było samodzielną inicjatywą środowiska krakowskiego. Przed uporządkowaniem spraw ogólnego

organizacyjnych Zarząd Główny KW PTT nie miał czasu zajmować się szkoleniem. Jego priorytetem było reaktywowanie i ożywienie kół miejscowych, ustalenie listy członków i nawiązanie z nimi kontaktów, reaktywowanie Taternika itp. Zarząd Główny wybrany 26 sierpnia 1945 r. w Zakopanem na zebraniu reaktywującym Klub Wysokogórski nie podjął pracy z uwagi na rozłam, jaki wywołało powołanie w listopadzie tegoż roku Polskiego Klubu Alpinistycznego grupującego czołowych reprezentantów środowiska zakopiańskiego i warszawskiego. Prezesem Klubu został Witold H. Paryski, wiceprezesami – Zbigniew Korosadowicz i Tadeusz Orłowski, członkami m.in. – Róża Drojecka, Jan Krupski, Mierzejewscy, Jerzy Mitkiewicz, Jan Staszczel, Zofia Radwańska-Paryska, Zygmunt Wójcik, Wawrzyniec Żuławski. Rozłam był tak silny, że prezes Justyn Wojsznis zmuszony był zawiesić działalność Zarządu na rok, do czasu następnego Walnego Zgromadzenia KW. 4 sierpnia 1946 r., tym razem w Krakowie, wybrano nowy Zarząd z prezesem Janem Kazimierzem Dorawskim. Siedzibę Zarządu przeniesiono do Krakowa i ustalono, że Zarząd Główny będzie równocześnie pełnić rolę Zarządu Koła Krakowskiego KW. To dublowanie funkcji trwało aż do roku 1948. Skład Zarządu to wynik kompromisu. Wiceprezesami zostali: prezes PKA Witold Henryk Paryski (PKA rozwiązało się) i Justyn Wojsznis, dotychczasowy Prezes ZG KW, sekretarzem – Maciej Mischke, skarbnikiem – Władysław Łaba, pozostałymi członkami zarządu – Jerzy Piotrowski i Włodzimierz Marcinkowski. Podjęto także uchwałę, że członkowie Klubu Wysokogórskiego Winthertur nabywają prawa członków KW PTT.

O szkoleniu zaczęto dyskutować w roku 1947. Wtedy pojawiły się zastrzeżenia do Skalek i ich roli w wychowaniu młodzieży. Reagowano na wysokie wymagania stawiane uczestnikom kursów skałkowych w zakresie umiejętności wspinaczkowych. Za niedopuszczalne uważano, aby warunkiem ukończenia kursu skałkowego było przejście na pierwsze-

go dróg wspinaczkowych w skali nadzwyczaj trudnej. Nic dziwnego. Skala ta sięgała albo i przekraczała pułap możliwości wspinaczkowych większości ówczesnych członków Klubu. Była ona o dwa stopnie wyższa od wymogów stawianych przy przyjęciu na członka i to nie uczestnika lecz zwyczajnego. Zastrzeżenia motywowano troską o bezpieczeństwo młodych przymierzane do własnych możliwości technicznych i fizycznych. Nie łatwo pogodzić się z faktem, że żółtodziób miałby wspinąć się lepiej niż "rep". Ostrzegano, że doskonale technicznie wyszkolony absolwent kursu skałkowego, nie mając respektu przed trudnościami, w samodzielnej działalności w Tatrach, niedoceni specyfiki ogromu Tatr, co może skończyć się tragicznie.

Dyskusja musiała być ostra. O jej rozmiarach sądzić można z wypowiedzi Andrzeja Mandy stojącego w obronie Skalek, zamieszczonej w dopiero co wznowionym Taterniku: *Nikt z nas nie odsądza od czci i wiary tych, którzy Dolinek nie uznają. Niestety z tamtej strony jest częściowo inaczej. W atakach biorą udział nawet ci, którzy nigdy lub prawie nigdy w Dolinkach nie byli, tylko dufni w taternicką powagę swego nazwiska, rzucają gromy na tych, co ośmielili się przyjść ze Skalek w Tatry i twierdzić, że mają rację*¹⁷.

W tym czasie grupa taterników zawodowo czy społecznie związanych z turystyką górską wystąpiła w propozycją utworzenia w Zakopanem w oparciu o aktyw KW i doświadczonych przewodników tatrzańskich Szkoły Turystyki Górskiej i Taternictwa prowadzącej całość szkolenia górskiego z taternickim włącznie. Ich zamierzenia sięgały zresztą dalej. Akcja Szkolenia Górskiego miała być akcją na wielką skalę "bo jak uznano, jeżeli ma odnieść właściwy skutek musi objąć cały górski ruch wycieczkowy na wszelkich szczeblach od najniższych do najwyższych, objąć obszar wszystkich gór polskich, lato i zimą, a także w pewnym stopniu pokrewne dziedziny jak zawodowe przewodnictwo górskie, ratownictwo górskie i ochronę przyrody"¹⁸.

Inicjatywa nie przyniosła oczekiwanego rezultatu. W protokole z Walnego Zgromadzenia Klubu z 1947 r. czytamy: *"Niestety... PUFW nie uruchomił przewidywanych obozów, a nawet nie odpowiedziała na nasze memoriały... W ten sposób pierwsze dwa stopnie przeprowadzonego przez Koło Krakowskie KW szkolenia taternickiego zawisły poprostu w powietrzu. Młodzież nauczona zasad wspinaczki poszła w Tatry samopas co nawet stało się powodem jednego wypadku śmiertelnego"**. W ówczesnych dyskusjach śmierć W. Orłowskiego stała się koronnym argumentem przeciwników szkolenia skałkowego. Jak pisał Pawłowski, *"wypadek ten jest smutnym wyrokiem spalonego podejścia do zagadnień taternictwa i szkodliwym wyolbrzymianiem roli skałek podkrakowskich w szkoleniu wysokogórskim"*¹⁹.

*"... Wykorzystano rzecz tak tragiczną jak śmierć naszego kolegi do powtórzenia zarzutów jakie wielokrotnie słyszeliśmy w dyskusjach i wypowiedziach..."*¹⁷ Do zarzutów tych ustosunkowuje się Andrzej Manda w imieniu młodzieży. *"Zarzuty nie dotyczą tylko ofiary wypadku lecz także... całego ruchu dolinkowego. Odpowiedź nasza na nie brzmi: nie wyolbrzymiamy roli skałek... gdyż sami wielokrotnie podkreślaliśmy, że skałki są dla nas niczym innym jak tylko miejscem treningu i wspinaczkowym wstępem do Tatr, Zdajemy sobie dokładnie sprawę, że Tatry to nie dolinki, lecz wiemy jednocześnie, że to co się w nich nauczmy w zakresie techniki wspinania i operowania sprzętem na pewno nam się przyda w Tatrach. Wiemy, że to nasz pierwszy etap w szkoleniu wysokogórskim, a że zabrakło drugiego... to już nie nasza wina... Dają nam też Dolinki doskonały trening w zakresie tego co dać mogą. Trening w Dolinkach ma dla nas, dla których przedsezonowa zaprawa w Tatrach jest niemożliwa wskutek ogólnie znanej szczupłości przeważnie studenckich*

kieszni, olbrzymie znaczenie, gdyż daje w rezultacie oszczędność czasu potrzebnego na nabranie formy i przedłuża w ten sposób efektywny czas pobytu w górach w sezonie... Dolinki niestety nie dają... wszystkich wartości: wiemy także o tym, że resztę elementów można opanować tylko w Tatrach i dlatego Dolinki nie są dla nas... między innymi, wspinaczkowym wstępem do Tatr, są jedynie szkołą wspinania, a nie taternictwa i ułatwiają nam młodym wejście w tak ukochany świat Gór."

Podobnie, ale z innej pozycji wypowiada się Kędzior. *"... Krakowska Szkoła Wspinaczkowa, prowadzona przez Pokutników w latach okupacji, ustaliła stopnie sprawności wspinacza, co było wytyczną do nadania kierunku szkółce prowadzonej po wyzwoleniu przez Koło Krakowskie. Fundament był, ale brakowało wzoru do rozwiązania sprawy zbiorowego szkolenia... trzeba było dopiero podczas szkolenia sprawdzić teoretyczne założenia. O wadach szkółki nie mówi się... zostały aż nadto wyolbrzymione... jednak trzeba wreszcie wyjaśnić, że uczestników szkółki, u których stwierdzono zadatek na taternika wprowadzano w każdym sezonie w Tatry i przez ten fakt zasadnicza wada szkółki została usunięta. Jeżeli mowa o masowym szkoleniu na terenie dolinek to akcja w Tatrach traci na impecie przede wszystkim z braku środków materialnych"... Zasadniczą zaletą szkółki... jest możliwość ciągłego obserwowania uczestników w czasie wykonywania ćwiczeń: widzi się ich zachowanie i nastroje psychiczne w trakcie wspinaczki, popełniane błędy techniczne, poprostu wszystko widać jak na tablicy"*²⁰.

Wypowiedź ta wykazuje przewagę szkolenia technicznego w Skałkach nad prowadzonym w Tatrach. Uzupełnię ją: Skałki to wysmienity teren do nauki techniki wspinania. Ich wapienne, trudne technicznie, z reguły jednowyciągowe urwiska, położone obok siebie, co ogranicza podejścia, pozwalają na stałą

* Artykuł był napisany przed 1948 r. W tym roku Koło Krakowskie wprowadziło szkolenie dla absolwentów kursów skałkowych – kurs dla początkujących w Tatrach. Nie zmieniło to jednak sytuacji bo szkolenie to nie obejmowało wszystkich kończących kurs.

obserwację wspinacza, na korygowanie jego błędów i podpowiadanie rozwiązań. Dają możliwość zapoznania adepta z każdą formacją skalną: ścianką, kominkiem, rysą i sposobem jej pokonywania. Koronny argument oponentów o nader wysokiej technice absolwenta kursu skałkowego jest dyskusyjny. Dobre wykształcenie techniczne adepta uwalniało szkolącego w Tatrach od konieczności poświęcania czasu na naukę tych podstawowych umiejętności z korzyścią dla innych zagadnień związanych tylko z Tatrami np. orientacją, wyborem drogi itp. Szkolonemu znajomość techniki wspinaczkowej pozwala koncentrować się nie na samej wspinaczce, ale na otoczeniu. Poznawanie specyfiki wysokogórskiego terenu nabywa się w trakcie wspinaczki i nie wiąże się z jej trudnościami pod warunkiem, że szkolący potrafi w takim terenie prowadzić, a szkolony nie musi całej uwagi poświęcać na pokonanie trudności.

Akcją Szkolenia Górskiego nie zajmowałbym się, gdyby nie rola, jaką przypisuje jej Żuławski. Według niego: *“Rok 1948 staje się punktem zwrotnym, początkiem nowego etapu. Klub Wysokogórski rzuca hasło umasowienia taternictwa. Powstaje Komisja Szkolenia Górskiego KW PTT (przewodniczący Justyn Wojsznis, Zygmunt Wójcik, Zofia Radwańska-Paryska, Witold Henryk Paryski i Tadeusz Pawłowski) – pierwszy realny wyraz nowej świadomości, pierwsze dążenie do ujęcia we właściwe formy organizacyjne żywiołowo narastającego ruchu masowego, nie tylko taternickiego, ale i turystycznego... Komisja Szkolenia Górskiego KW PTT w porozumieniu z Zarządem ówczesnego PTT... obejmowała całokształt zagadnienia inicjując szkolenia na wszystkich szczeblach we wszystkich dziedzinach turystyki górskiej, przewodnictwa i taternictwa. Komisja zaczęła organizowanie licznych kursów instruktorskich, ratowniczych oraz taternickich, letnich i zi-*

nowych... Skutki nie dały na siebie długo czekać, rozpoczyna się silny rozrost wszędy”²⁷.

Opanowanie i racjonalizacja gwałtownie rozwijającej się a popieranej turystyki masowej było w tym czasie problemem o dużym ciężarze i to pilnym. Nie dziwi więc, że Zarząd Główny Klubu zgłoszony 11 lutego 1948r. przez Paryskiego projekt Akcji Szkolenia Górskiego przyjął i zafirmował. *“Klub Wysokogórski, najwyższy w Polsce autorytet, nie tylko w sprawach alpinizmu i taternictwa, ale również we wszystkich dziedzinach turystyki wysokogórskiej uznał, że sprawa uzdrowienia ruchu masowego, zarówno pracowniczego jak i młodzieżowego stała się zagadnieniem nie cierpiącym dalszej zwłoki. Dla spełnienia powyższych zadań... dla okazania pomocy Związkom Zawodowym i innym organizacjom w urządzaniu wycieczek zbiorowych oraz ułatwienia i polepszenia ruchu masowego powołał 2 lipca 1948 do życia Komisję Szkolenia Górskiego, której zadaniem w pierwszym rządzie będzie stworzyć jak najliczniejsze kadry wykwalifikowanych przewodników dla wszelkiego rodzaju wycieczek zbiorowych.”²⁸*

Ta inicjatywa Klubu, przerastająca jego statutowe zadania, nie została przyjęta. Nie mniej Zarząd Klubu nie rezygnuje: *“...widząc nagłą konieczność przeprowadzenia szkolenia instruktorów oraz kierowników wycieczek masowych... decyduje: rozpocząć akcję szkolenia własnymi skromnymi środkami Klubu, w słusznej – jak się okazało – nadziei, że fakty dokonane stworzą sytuację zmuszającą do udzielenia pomocy”²⁹.*

To, że tylko dzięki Klubowi i z jego środków ruszyła Szkoła Turystyki Górskiej i Taternictwa* otwarta w październiku 1948 roku i rozpoczęło się szkolenie przewodników wycieczek masowych. Potwierdza to B. Małachowski, jeden z inicjatorów akcji, który pisze w Wierchach: *“Udało się w roku ubiegłym*

* Dyrektorem Szkoły został Witold H. Paryski. Szkoła posiadała lokal w hotelu “Morskie Oko” i wykładowców oraz instruktorów do prowadzenia wycieczek i ćwiczeń w terenie.

uruchomić planowane przez nas od dawna szkolenie górskie mimo szczupłych środków uczynił to Klub Wysokogórski, który zorganizował Komisję Szkolenia Górskiego. Działalność Komisji przyniosła poważne rezultaty. W roku 1948 przeszkolono prawie 100 osób jako przodowników turystyki masowej, z których egzamin zdało 61... Doskonale rozpoczęta działalność Komisji została niestety przerwana na przeszło pół roku z powodu braku funduszy. Ponadto Komisja zorganizowała kursy dla przewodników zawodowych, ratownicze i taternicze, które przeszło 140 osób. ...umieszczono w czterech punktach, a to przy Morskim Oku, na Hali Gąsienicowej, na Kasprowym i na Hali Pisanej obserwatorów, którzy bezpłatnie udzielali informacji wszystkim turystom... W roku obecnym tj. w lipcu 1949 r. Zarząd Główny PTT wznowił działalność Komisji uznając dotychczasową Komisję za swoją”¹.

Sądzę, że trudności z zatwierdzeniem Komisji i powierzeniem Klubowi prowadzenia omawianej akcji miały podłoże polityczne. Klub jako organizacja typowo inteligencka i elitarna znalazł się na cenzurowanym. Zarzut elitaryzmu postawił Klubowi Wysokogórskiemu prezes PTT wiceminister Wolski na Walnym Zgromadzeniu Klubu w 1948 r. Tym tłumaczył swoją decyzję odwołania przygotowywanej na lato tego roku wyprawy alpejskiej*. Jeżeli władze obawiały się wypuścić zagranicę nieliczną grupę z podejrzanej organizacji, tym bardziej musiały mieć wątpliwości czy można jej powierzyć szkolenie i wychowanie szerokich mas. Była to zapowiedź okresu trudnego dla Klubu. Gdyby nie fakt, że decyzja prowadzenia Akcji Szkolenia własnymi środkami Klubu zapadła przed Walnym Zjazdem, na którym wysunięto to oskarżenie, można byłoby sądzić, że podjęto ją aby odeprzeć zarzut społecznej bezużyteczności Klubu.

W oparciu o analizę sprawozdań ze szkoleń składanych na Walnych Zgromadzeniach Klubu w latach 1949–50 muszę stwierdzić, że Komisja Szkolenia Górskiego praktycznie nie zajęła się podstawowym szkoleniem taternickim. Trudno bowiem jako szkolenie taternicze traktować tygodniowy kurs kierowników wycieczek masowych, jaki przeprowadził Paryski dla uczestników 13-stodniowego szkolenia dla początkujących z Koła Warszawskiego w sierpniu 1949 r. Szkolenie to stanowiło pierwszą część kursu. Dalsze zajęcia i ćwiczenia taternicze prowadzili taternicy warszawscy pod kierownictwem Tadeusza Orłowskiego. Kurs ten skończyło 29 osób. Środowisko to przeprowadziło także już w pełni własnymi siłami kurs dla zaawansowanych, przy czym jego część odbywała się na Słowacji. Dodam, że w Tatrach Słowackich w tym sezonie działali oficjalnie także inni taternicy polscy. Uczestniczyli oni w kursach organizowanych przez Sbor Tatranských Horolezcov JAMES oraz Československą Obec Sokolską. Był to rewanż, jako że w obozie zimowym uczestniczyło 6 taterników z Czechosłowacji. Rok 1950 otwiera zimowy obóz KW PTT odbyty w Morskim Oku pomiędzy 11 a 30 kwietnia. Miał to być obóz kondycyjno-treningowy o dwóch turnusach: dla taterników zaawansowanych i dla początkujących. Zastrzeżenia PUWF subwencjonującego tą imprezę zmusiły, tuż przed rozpoczęciem do przemianowania jej bez zmiany składu na kurs instruktorski. Kierownikiem był Jerzy Hajdukiewicz, a wzięło w nim udział około 50 osób. Nic dziwnego, że po kursie *“egzaminów nie przeprowadzono, gdyż uznano, że uczestnicy obozu muszą przejść jeszcze... specjalny kurs instruktorski”*. Jak odnotowuje Taternik, Komisja Szkolenia Górskiego *“...wobec pilniejszych spraw związanych z masowym ruchem turystycznym... dopiero ostatnio mogła*

* Na walnym Zgromadzeniu Klubu oświadczył, że sprzeciwił się tegorocznej wyprawie alpejskiej i mtywując swoje stanowisko poddał krytyce dotychczasowy – jego zdaniem – elitarny charakter Klubu. w owych czasach był to poważny zarzut zapowiadający niełaskę. Walne Zgromadzenie KW PTT. XI Walne Zgromadzenie KW PTT. Protokół. Taternik XXXI, 1–2, s. 139

się zająć bliżej szkoleniem instruktorów taternickich. W dniach 28.XII.1949 do 6.I.1950 zorganizowała (na Hali Gąsienicowej) kurs na pomocników instruktorów, a dniach 27.XII do 9.I.1950 w ramach Konferencji Tatrzańskiej na Hali Gąsienicowej, ...urządziła kurs unifikacyjny dla instruktorów zapraszając nań jedynie taterników o dużym doświadczeniu i jak najwszechstronniej nadających się do tak odpowiedzialnej roli, jaką jest obecnie praca instruktorska w każdej dziedzinie sportu”²⁵. Kursu pomocników instruktora nikt nie ukończył z wynikiem pozytywnym.* *“Po odbytych kursie i egzaminach Komisja... stwierdziła, że niektóre Kola KW wyznaczyły na kurs częściowo ludzi zupełnie nie nadających się do szkolenia na instruktorów i że chcąc postawić kadrę instruktorską na odpowiednim poziomie, KSG nawet najlepszych uczestników tego kursu nie może mianować pomocnikami instruktorów póki nie przejdą oni jeszcze dodatkowego szkolenia instruktorskiego”*.⁷ Konferencja Tatrzańska została zwołana przez Komisję Szkolenia Górskiego, aby *“przedyskutować w szerszym gronie zagadnienia związane ze szkoleniem taternickim, a w pierwszym rzędzie sprawę szkolenia instruktorów...”* Komisja zaprosiła na nią *“taterników o dużym, wieloletnim doświadczeniu i o poważnym ustosunkowaniu się do spraw szkoleniowych”* (chyba zbliżonym do poglądów Komisji). Konferencja ta wraz z trwającymi w jej trakcie kursami definitywnie zakończyła działalność Komisji.¹³

W 1950 r. sprawą nadrzędną dla organizacji turystycznych, a więc i ZG PTT, stały się przygotowania do reorganizacji turystyki ostatecznie zakończone powołaniem w grudniu PTTK. Nowo utworzona organizacja *“PTTK nie podjęła zainicjowanej przez Komisję Szkolenia Górskiego KW PTT akcji szkole-*

*nia turystycznego... i jak pisze dalej Żuławski... Ta jak najbardziej zasadnicza i podstawowa sprawa leży odłogiem stwarzając dodatkowe trudności także taternictwu, do którego szkolenie turystyczne powinno być wstępem”*²⁶. Akcja Turystyki Górskiej bez wsparcia rzeczowego i finansowego umarła śmiercią naturalną, a Szkoła Turystyki Górskiej i Taternictwa przestała istnieć. Zniechęceni członkowie Komisji wycofują się z działalności, przyczym dyrektor szkoły Paryski, którego prestiż w środowisku zakopiańskim wiążącym ze Szkołą spore nadzieje ucierpiał najbardziej, zrezygnował nawet z redagowania Taternika. Ostatni numer pod jego redakcją datowany był na listopad 1949. To wszystko, co w czasie swego działania zrobiła na rzecz taternictwa Komisja. Dodam, że tzw. kurs instruktorów taternictwa odbyty w trakcie Konferencji Taternickiej, w którym stopnie instruktorskie nadano 10 osobom, w tym 5-ciu członkom Komisji, trudno nazwać kursem**. Można zadać pytanie: kto i kogo egzaminował? Była to raczej unifikacja dokonana w dobranym gronie, a wszyscy zweryfikowani starsi instruktorzy z uwagi na wiek czy obciążenie obowiązkami zawodowymi w praktyczne szkolenie taternickie nie mogli się włączyć.

Wychowankowie Skalek, a z roku na rok było coraz więcej, odnosili się z rezerwą do prowadzonej przez Komisję Turystyki Górskiej akcji szkolenia. Ich stosunek do turystyki masowej był obojętny jeżeli nie wrogi. Nie zachwycały ich tłumy w Tatrach, a tym bardziej rola wprowadzających w nie obcych z zachowania ludzi. Nie sądzili, aby wychowywanie tłumu zalegającego Zakopane i góry było obowiązkiem Klubu. Nie zabierali głosu w sprawie szkolenia masowego, ale nie uważali, aby fundowanie autokarowych wycie-

* Nie umiem powiedzieć w jakim stopniu na taką ocenę uczestników miało zarzutować wystąpienie Jaworowskiego zarzucające kierownikowi KSG stronniczość i brak kompetencji.

** Starszymi instruktorami mianowano S. Grońskiego, M. Korowicza, H. Mogilnickiego, W. H. Paryskiego, Z. Radwańską-Paryską, S. Siedleckiego, J. Staszela i J. Wojsznisa, a instruktorami R. Schramma i Z. Wójcika. Unifikacja instruktorów taternictwa. Taternik 31 (1949), 1–2, s. 85–86

czek w Tatry było drogą do wychowania zaplecza Klubu. Kupując przypadkowej osobie bilet na mecz piłkarski ofiarodawca nie może oczekiwać, że obdarowany zostanie kibicem piłkarstwa, a tym bardziej zawodnikiem tej dyscypliny. Akceptowali – gdyby ich kto pytał – utworzenie w Zakopanem Szkoły Turystyki Górskiej i Taternictwa. Nie dziwiło ich poparcie, jakie Zarząd Klubu udzielił w kwestii Akcji Szkolenia Górskiego swym członkom, wybitnym działaczom turystycznym związanym z przewodnictwem tatrzańskim i obsługą ruchu turystycznego na terenie Tatr i Podhala, a więc znających problemy turystyki górskiej tego rejonu. Oczekiwali jednak, że Szkoła będzie także bazą szkolenia ściśle taternickiego. Typ szkolenia lansowany przez Komisję, a popierany przez wielu ówczesnych notabli klubowych nie odpowiadał młodzieży przejmującej tradycję i etos Pokutników. Oczekiwali, że Klub udostępni im Tatry, a Himalaje były wówczas dla nich zbyt odległe i pod każdym względem nieosiągalne. Drogę w góry najwyższe przerwała wojna. Na tą drogę “starsi” chcieli wrócić wiedząc, że w tym kierunku działalności mogą jeszcze odegrać znaczącą rolę. Natomiast młodzieży doskonale wyszkolonej technicznie, przejmującej od Pokutników nowoczesną technikę wspinaczkową, nie wystarczyło nabycie umiejętności poruszania się po terenie wysokogórskim w stopniu pozwalającym na wstąpienie do Klubu. Chcieli rozwiązywać trudne tatrzańskie problemy... Bolało ich konsekwentnie przypisywane im, podobnie jak niedawno Pokutnikom – określenie “wspinacze” o pejoratywnym kontekście. Bezpodstawnie. Czy Łapiński i Paszucha, którzy swym dorobkiem tatrzańskim letnim i zimowym zdecydowanie przewyższali większość uznanych notabli klubowych, a kontakt z naturą był istotnym elementem ich etosu, to tylko wspinacze? To samo pytanie można zadać w stosunku do absolwentów kursów skałkowych. Zazwyczaj znali oni turystycznie Tatry lepiej niż adeptci z innych środowisk. Od 1947 r. był to wymóg stawiany kandydatom na kurs skałkowy, spr-

wdzany na egzaminie wstępnym. Młodzież ta wspiwała się w Skałkach, ale “prawdziwymi górami” były dla niej Tatry. W Tatrach “skałkowicze” z reguły działali w rejonie Morskiego Oka lub wysokich niezagospodarowanych partiach Tatr Słowackich. Były to tereny o większych walorach wysokogórskich niż otoczenie Hali Gąsienicowej, które preferowali inni w początkowej fazie działalności górskiej. Krakowianie byli prekursorami długich przejść graniowych. Grań Tatr Wysokich od przełęczy pod Kopą po Liliowe pierwsi przeszli w 1946 roku A. Górka i K. Paszucha; w odwrotnym kierunku młodzież – K. Jakubowski i Z. Węgrzynowicz w 1949 r. W cztery lata później, w okresie największych restrykcji krakowska piątka młodych przeszła nielegalnie grań od Rakuskiej Przełęczy po Krywań (wariant “przez najwyższe szczyty Tatr”). C. Łapiński i K. Paszucha przeszli w kwietniu 1948 roku, w warunkach zimowych, grań Tatr Zachodnich od Kasprowego po Salatyński Wierch. Pierwsze przejścia zimowe grani Orlej Perci od Świnicy po Turnię nad Dziadem w Wołoszynie w obu kierunkach (1952) czy grani Morskiego Oka od Żabiej Turni po Opalone (1953) – to także dzieło “skałkowiczów”. Dodam, że to ostatnie przejście i to tylko w części, bo do Mięguszwieckiego Szczytu, stanowiło jedno z głównych zadań Alpiniady zimowej w 1954 r. Działalność ta, często nielegalna, połączona z biwakami czasem wielodniowymi – latem w kolebach i pod gołym niebem, najczęściej w płachcie Zdziarskiego, a zimą w jamach śnieżnych¹⁰ dawała możliwość poznania Tatr i ich uroku w stopniu nieosiągalnym dla “taternika schroniskowego” czy turysty.

Tymczasem szkolenie skałkowe rozwijało się dynamicznie. Wg. Żuławskiego “...w 1948 r. stopniowo dochodzi do głosu silna grupa wspinaczy krakowskich”²⁷, a Manda stwierdza... “nie jesteśmy już kopcuszkami Klubu, wchodząc z wolna na arenę życia taternickiego... zadając równocześnie pytanie... czy tak duży, niebywale duży w ciągu 45-lecia istnienia zorganizowanego taternictwa przyrost

członków, to nie w wielkiej mierze ci, którzy wyszli z Dolinek? W roku tym Klub liczył 7 członków honorowych, 146 zwyczajnych i 49 uczestników. Razem 202, co w stosunku do 157 w roku poprzednim oznacza przyrost o 45 osób⁴³. W roku tym kurs skałkowy ukończyło 26 osób, a Koło Krakowskie po raz pierwszy zorganizowało dla absolwentów kursowe szkolenie w Tatrach. Po wieloletniej przerwie wydano kolejny numer Pokutnika, w którym ukazał się artykuł "Schemat krakowskiej szkółki" z ramowym programem zajęć. Artykuł ten nie usunął jednak wątpliwości Zarządu w stosunku do szkółki wspinaczkowej, co miało wyraz w zapisie protokołu z Walnego Zgromadzenia: "*Wiadomo, że istnieją znaczne różnice zdań na temat wartości wyszkolenia nabywanego w skałkach. Ponieważ jednak niezależnie od tych różnic poglądów młodzież po skałkach licznie chodzi i chce chodzić, jest obowiązkiem Klubu ruchem tym zaopiekować się i nadać mu odpowiedni kierunek*"²⁶.

W następnym 1949 r. odbyły się szkolenia środowiskowe: Koła Krakowskiego i wspomniane już Koła Warszawskiego. Koło Krakowskie przeprowadziło aż dwa kursy skałkowe: wiosenny i jesienny. Pierwszy ukończyło 45, a drugi 31 osób.

Obóz zimowy w 1950 r. o dwóch turnusach: ogólnopolskim prowadzonym przez S. Siedleckiego i krakowskim z K. Paszuchą stał pod znakiem tragedii na pn ścianie Mięgoszowieckiego Szczytu. Niemal wszyscy uczestnicy obozów brali udział w akcji ratowniczej: ściąganiu zwłok Abgarowicza – ofiary wypadku.

Latem w Tatrach "*odbyły się kursy Kół Krakowskiego, Warszawskiego, Śląskiego oraz Oddziału Wrocławskiego PTT. Najwyższy poziom osiągnął kurs Koła Krakowskiego po uprzednim przygotowaniu w skałkach Jury Krakowsko-Wieluńskiej. Ogółem przeszkolono dziesiątki początkujących i częściowo zaawansowanych taterników*".¹⁶

Pod koniec 1950 roku miało miejsce istotne dla Klubu wydarzenie. Połączenie się PTT i PTK w jedną organizację – Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze – na Zjeździe odbytym 17 grudnia 1950 roku w Warszawie rozpoczęło nowy i trudny okres w historii Klubu. Wcześniej miała miejsce impreza towarzysząca Zjazdowi, która także zarzucała na losy Klubu. Mam tu na myśli akcję na Rysach z 15 listopada 1950 r. Przed Zjazdem obie łączące się organizacje postanowiły uczcić Kongres Pokoju wspólnym zatknięciem niebieskich sztandarów na najwyższych szczytach Tatr, Beskidów i Sudetów. W Przekroju ukazał się artykuł opisujący zamierzoną akcję na Rysy. "*12 osobowa ekipa członków Klubu Wysokogórskiego, która szła na Rysy z Zakopanego liczyła w swym składzie chłopca matorolnego obok cenionego literata, robotników, studentów uniwersytetu, lekarzy, rzemieślników i młodych ZMP-owców*" (a byli to: Wawrzyniec Żuławski jako kierownik akcji, Tadeusz Pawłowski, Anna Kuralówna, Tadeusz Nowicki, Tadeusz Giewont, Władysław Roj, Krystyna Jakubowska, Krzysztof Brun, Eugeniusz Strzeboński, Zenon Węgrzynowicz oraz Zofia i Witold Paryscy.). W nocy z 14/15 listopada pogoda załamała się, zerwała się zawieja śnieżna i wichura. Mimo to wyruszono na drugi dzień na Rysy. O 11.40 zatknięto rzekomo sztandar na szczycie i taka informacja prasowa obiegała kraj. W rzeczywistości grupa szturmowa zjechała w lawinie z "Rysy" w drodze na szczyt. Kontuzje członków grupy szturmowej były poważne. Strzebońskiego trzeba było ściągać topoganiem. To zakończyło akcję. Cała ekipa skoncentrowała się na udzieleniu pomocy poszkodowanym i sprowadzeniu ich do schroniska.

Przeciwko tej fałszywej informacji zdecydowanie zaprotestował Jan Kazimierz Dorawski, od czterech lat pełniący z pełnym poświęceniem niełatwą w tym okresie funkcję prezesa Klubu. Ten zasłużony działacz, jeden z najczynniejszych w organizacjach taternickich, turystycznych i narciarskich, znany ze swej prostoliniowości i bezkompromisowości, nie

chciał się pogodzić ze złamaniem podstawowego kanonu etyki taternickiej, jakim jest rzetelna informacja o dokonanych przejściach. Twierdził, że jego morale nie pozwala mu kierować organizacją, na której ciąży choćby cień zarzutu o nieuczciwości. Zażądał bezwarunkowego sprostowania informacji w prasie i od tego uzależnił dalsze pełnienie swej funkcji. Pomimo szeregu wystąpień indywidualnych i zbiorowych do prasy, PTTK i GKFFiT sprostowanie nie ukazało się. Sądzę, że w tym czasie ukazanie się dementi dewaluującego wykonanie czynu społecznego było niemożliwe. Dorawski ustąpił.

W maju 1951 roku na Walnym Zgromadzeniu Klubu wybrano nowy Zarząd Główny. Na tym Zjeździe o sukcesję po Dorawskim rywalizowali Żuławski i kandydat młodych – Paszucha. Zwyciężył Paszucha, a w Zarządzie, o dziwo, nie znalazł się żaden z międzywojennych notabli. Tak więc prezesem został Kazimierz Paszucha, wiceprezesami – Fryderyk Kędzior i Jerzy Hajdukiewicz, a sekretarzem Tadeusz Nowicki.*

Żuławski uważał, że przebieg i wybory władz Klubu były *“narzucone przez Prezydium PTTK w sposób nie odpowiadający obyczajom demokratycznym”*²⁷. O wynikach Zjazdu zadecydowała młodzież, choć nie tylko. Ci strofowani *“wspinacze”* podjęli próbę przełamania dominacji wybitnych jednostek ze środowiska warszawsko-zakopiańskiego zawężających znaczenie Tatr do roli służebnej w stosunku do gór wyższych i niechętnych taternictwu ekstremalnemu, Skałkom i szkoleniu skałkowemu. Młodzież ta, która zaczęła już włączać się w działalność organizacyjną, chciała postawić na czele Klubu ludzi może nie tak znanych, ale bliższych im duchowo. Optowała za Zarządem Koła Krakowskiego

z Paszuchą na czele, w którym szkoleniem zajmowałyby się Kędzior.

Ani Żuławski ani wysuwająca go grupa nie dostrzegli, że ich priorytety nie spełniają oczekiwań większości członków Klubu. Niewątpliwie środowisko klubowe pragnęło aby Klub, a ściślej jego czołówka, ponownie wyruszyła w egzotyki. Niemniej zdecydowana większość członków Klubu zainteresowana była głównie Tatrami i miała prawo oczekiwać, że Zarząd Klubu ułatwi im działanie w tych praktycznie jedynie dostępnych dla nich górach. Szkolenie taternickie w wydaniu Szkoły Turystyki Górskiej i Taternictwa, z założenia słuszne, jak już pisałem, nie zdało w praktyce egzaminu. Akcja ta była pozastatutowa, a w tym czasie Klub nie był w stanie przeszkolić wszystkich chętnych, zaś przeszkolonym zapewnić z miarą bezpieczne prowadzenie samodzielnej już działalności taternickiej. Szczególnie istotnym był problem sprzętu. Dla taternika niezależnie od tego, czy jego działalność ma charakter sportowy czy czysto przyjemnościowy potrzebne są haki, karabinki, młotki, czekany, raki i liny oraz ekwipunek obozowy i osobisty: śpiwory, kurtki puchowe, płachty Zdarskiego, anoraki, *“kochery”* itp. Wszystko to podstawowe dla w miarę bezpiecznego działania w górach było nieosiągalne w kraju. Lukę tę starali się wypełnić i wypełniali krakowianie. W zakresie sprzętu metalowego jednostkowe działania Adasia Górki szybko wsparł już na skalę rzemieślniczą absolwent kursu skałkowego z 1946 r. Edward Noszka (produkował nawet czekany i raki). Wkrótce dzięki staraniom głównie A. Mandy, ale także innych członków referatu sprzętu Koła Krakowskiego Zakłady Szadkowskiego w Krakowie i Spółdzielnia Metalowców w Sułkowicach rozpoczęły niskoseryjną produkcję karabinków, haków

* Pod koniec 1948 r. zaczął działać Zarząd Koła Krakowskiego w składzie przew. Paszucha, zastępca Kędzior, członkowie Worwa, Węgrzynowicz, Szumski, Górka ref. sprzętu, Słupski ref. szkoleniowy, Kędzior, Górka, Worwa, Szumski. Działalność Koła Krakowskiego KW PTT. Taternik XXXI, 1–2, s. 81. W protokole z Walnego Zgromadzenia z 5 września jest stwierdzenie że: *“najruchliwsze było Koło Krakowskie, którym kierował nadal Zarząd Główny Klubu.”*

i młotków. Potem ruszyła w Bielsku produkcja lin, początkowo sızalowych. Sprzęt ten nie dorównywał pod względem materiałowym i ciężarowym sprzętowi zachodniemu, ale spełniał podstawowe warunki wytrzymałościowe. Był atestowany w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. W tych latach wykonawcą ekwipunku puchowego i wiatrówek dla całej Polski była pani Mandowa, matka Andrzeja, a potem Ludwik Radoń. W następnych latach cała Polska zaopatrywała się w Krakowie także w plecaki wykonywane przez pana Waciaka. Produkcja ta może nie zaspakajała w pełni potrzeb sprzętowych gwałtownie rozszerzającego się środowiska klubowego, ale stanowiła istotny wkład w bezpieczeństwo działań ogółu taterników.

Działania Zarządu Koła Krakowskiego, który *en bloc* konkurował z Żuławskim, ukierunkowane na rozwiązywanie aktualnych i pilnych potrzeb taterników, nie tylko sprzętowych, zdecydowały o poparciu udzielonemu tej opcji.

Wydaje mi się, że sporo głosów odebrało też Żuławskiemu utworzenie w tym czasie Sekcji Wysokogórskiej CWKS grupującej około 30 osób (prawie całą ówczesną czołówkę taternicką z wybijającą się młodzieżą włącznie). Część starszych przywiązana do tradycji klubowej, uważającej, że taternictwo to coś więcej jak sport, zaskoczyło powołanie organizacji o typowo sportowym charakterze. Wielu mogło decyzję tę traktować jako koniunkturalną i partykularną, korzystną tylko dla elity. Jako kolejną próbę rozbicia Klubu. Kolejną, bo przypomnijmy, pierwszą był efemeryczny Polski Klub Alpinistyczny w 1945 r. Niezależnie od intencji organizatorów utworzenie Sekcji nie było pomysłem najszcześniejszym.

Żuławskiego zaskoczył przebieg Walnego Zebrania i jego wynik. Na pewien czas, wraz z grupą swych zwolenników, wycofał się z działalności klubowej. Zakopiańczycy związani z Komisją Szkolenia Górskiego zrobili to już wcześniej. Odbiło się to głównie na działalności Koła Warszawskiego i Zakopiańskiego. W Wierchach czytamy: *"Koło Warszawskie*

znalazło się w 1951 r. w poważnym impasie. Mimo stosunkowo dość znacznej liczebności odczuwa się w nim katastrofalny wprost brak ludzi do pracy. Zarząd Koła wskutek ustąpienia części członków Zarządu ulega zdekompletowaniu. Nadzwyczajne Zebranie Koła nie potrafiło wybrać nowego..." oraz *"...Koło Zakopiańskie również nie stało w ubiegłym roku na zbyt mocnych nogach. Charakterystyczny dla tego Koła brak więzi pomiędzy poszczególnymi członkami zaznaczył się w omawianym okresie jeszcze bardziej"*⁶.

Zmiana Zarządu Głównego miała miejsce tuż przed rozpoczęciem sezonu letniego. Budżet Klubu zatwierdzano dopiero w połowie sierpnia, a przyznane kredyty napływały z opóźnieniem, co w znacznym stopniu utrudniło szkolenie w okresie letnim. Niemniej zostało ono przeprowadzone na niespotykaną dotąd skalę. Sezon ten jak pisze Dobrowolski *"... musimy uznać za przełomowy pod względem umasowienia taternictwa. Fakt, że Klub Wysokogórski, który liczy zaledwie ponad 400 członków potrafił w ciągu jednego sezonu przeszkolić ponad 200 kandydatów na taterników oraz przeprowadzić szkolenie wyższego stopnia dla blisko 50 osób, świadczy o wielkiej sile żywotnej i jego możliwościach rozwoju... Akcje kursów dla początkujących zapoczątkowało Koło Krakowskie organizując w okresie od 17 do 22 lipca kurs w Morskim Oku. Prawie równoległe (20 do 28 lipca) odbywał się na Hali Gąsienicowej kurs Koła Śląskiego. Od 1 do 7 sierpnia odbywał się drugi kurs dla początkujących Koła Śląskiego w Morskim Oku. Na Hali Gąsienicowej przeprowadzono w okresie od 1 do 14 sierpnia kurs Koła Warszawskiego, zaś w okresie od 8 do 14 sierpnia ogólnopolski kurs dla początkujących członków Kół Poznańsko-Pomorskiego, Zakopiańskiego i Wrocławskiego. Od 17 do 30 sierpnia zorganizowano w Morskim Oku kurs dla zaawansowanych. Wreszcie w okresie od 9 do 19 września odbył się kurs dla początkujących dla kandydatów z Okręgu Łódzkiego PTTK. Instruktorzy krakowscy stanowią większość na wszystkich prawie kursach Klubu. W czasie*

trwania kursów taternictwo indywidualne uprawiają tylko jednostki. Instruktorzy jednak korzystają z każdej wolnej chwili aby gdzieś "wyskoczyć". Niektórzy zostając na dwóch kursach, między jednym a drugim mają... parę dni wolnych. W ten sposób dokonano paru pięknych przejść: S. Biel i Z. Jaworowski dokonują II przejścia środka pn ściany Kazalnicy drogą Łapińskiego i Paszuchy, w rekordowym czasie 10 godzin. S. Biel i Z. Rubinowski przechodzą w ciągu jednego dnia grań Morskiego Oka od Żabiej Czuby do Świstówki. I. Mikulska i T. Nowicki robią I przejście pn-wsch filara Pośredniego Granatu. Druga połowa sierpnia to okres "sportowy" w tegorocznym sezonie. Klub Wysokogórski zorganizował w Morskim Oku ogólnopolski obóz dla zaawansowanych, w którym brał udział cały szereg taterników stojących na wysokim poziomie. Równocześnie na Hali Gąsienicowej odbywał się 6-cio tygodniowy obóz kondycyjno-wyczynowy sekcji wysokogórskiej CWKS..."⁸.

Z porównania wyników 6-cio tygodniowego obozu uznanej już elity zgrupowanej w CWKS i młodszej generacji wychowanków Skałek wynika, że Ci ostatni zaczynają w działalności taternickiej dominować. Za najciekawszy rezultat obozu CWKS Dobrowolski uznaje "II przejście drogi Dziędzielewicza lewą częścią zach ściany Kościelca (K. Jakubowski, T. Nowicki)... natomiast ... uczestnicy kursu Klubu dokonali licznych wartościowych powtórzeń: S. Biel, A. Truszkowski i J. Zarębski robią drugie przejście drogi Wrześniaków na pd ścianie Zamarłej Turni. S. Biel i A. Truszkowski dokonują również drugiego przejścia tzw. zacięcia Komarnickich na pd ścianie Zamarłej Turni. Z. Tyszkiewicz, S. Biel i Kazimierz Filek powtarzają pd-wsch filar Pośredniego Granatu z nowym wariantem w dolnej części... w pierwszej dekadzie września dwójka krakowska J. Długosz i Karol Filek dokonuje I całkowitego przejścia Komina Stanisławskiego na wsch. ścianie Mnicha, wprost przez przewieszki – częściowo techniką hakową"¹⁶.

Połowa sezonu przynosi ważne wydarzenie. Wprowadzono zakaz poruszania się

w strefie nadgranicznej. Zamknęło to, zresztą na długo, indywidualną działalność taternicką w otoczeniu Morskiego Oka. Na imprezy grupowe należało uzyskać zezwolenie. Decyzja ta zaskoczyła taterników. W efekcie obóz CWKS musiał zrezygnować z części planowanej na działania w Morskim Oku, a kurs dla zaawansowanych bazujący w Morskim Oku zmuszony był wspinać się w rejonie dozwolonym, to jest w dolinach Pustej, Buczynowej, Koziej czy Pańszczycy. Zmusiło to uczestników tego obozu do codziennych wielokilometrycznych podejść. Dodam, że na przejście Kazalnicy mój partner uzyskał zgodę komendanta WOP na Łysej Polanie, ale w trakcie całego przejścia pod ścianą stał posterunek.

W tym roku szkolenie skałkowe wprowadziło Koło Śląskie założone w 1949 r., a także grupa z Okręgu Łódzkiego PTTK. Pierwsze zajęcia adeptów z Katowic i Gliwic odbywały się w Skałkach Podkrakowskich i skałkach Podzamcza koło Zawiercia. Prowadził je Zdzisław Dziędzielewicz. Bielszczanie, bo i oni należeli do Koła Śląskiego, preferowali wypady w Tatry. Od początku działalność szkoleniowa Ślązaków była prowadzona na szeroką skalę. Już po pierwszym roku 107 adeptów zostało kandydatami Klubu.⁹ Łodzianie do szkolenia technicznego wykorzystali Skałki Kroczyckie. Tam odbył się ich pierwszy kurs skałkowy liczący wraz z instruktorami 15 osób, którym kierował Krędzki. Po kursie zakładają oni Sekcję Wysokogórską przy Okręgu PTTK pozostającą pod opieką Koła Krakowskiego. W następnym roku Łodzianie prowadzą w Kroczycach dwa kursy skałkowe.

Sam Klub Wysokogórski rozrasta się: w Toruniu powstaje Koło Pomorskie, usamodzielnia się Sekcja Wysokogórską przy Okręgu PTTK w Łodzi, utworzenia koła domaga się Gdańsk, taternicy z Gliwic chcą się odzielić od Koła Śląskiego. Nowy Zarząd o wybitnie odmłodzonym składzie wybrano w Kole Krakowskim (prezes – Andrzej Truszkowski, wiceprezes – Stanisław Biel, sekretarz – Krystyna Ostafin). Było to konieczne,

bo większość członków Zarządu Głównego wywodzi się z Zarządu tego Koła, a współpracą z ZG PTTK układa się źle.

Klub w nowopowstałej organizacji o charakterze ogólnoturystycznym staje się drobną a kłopotliwą cząstką. Okres ten tak charakteryzuje Żuławski: *"O ile sama reforma turystyki była posunięciem słusznym, o tyle okres, od którego nowe Towarzystwo rozpoczęło swoje istnienie zaciążył w sposób krytyczny nad losami polskiego alpinizmu. Chaos, stan permanentnej reorganizacji, tania demagogia, frazesy nie mające realnego pokrycia... Pozbawione niemal całkowicie wypróbowanej kadry aktywistów społecznych, stojące wobec nowych, niełatwych do rozwiązania zagadnień Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze walczyło z poważnymi trudnościami..."* Klub który w ramach PTTK *"był samodzielnym stowarzyszeniem posiadającym osobowość prawną, w chwili akcesu zapewnił sobie daleko idącą odrębność organizacyjną, budżetową, lokalową itp. Trzeba jednak stwierdzić, że z obietnic tych nic nie zostało zrealizowane..."*²⁷ Rzeczywistym dążeniem PTTK konsekwentnie realizowanym było wtłoczenie go (Klubu) do wspólnego kotła masowej turystyki, w którym ze względu na swą niewielką liczebność nie mógł odgrywać żadnej roli. Dodajmy do tego stosowane przez niektórych członków ówczesnego Prezydium ZG PTTK kapraleskich metod komenderowania... musiały doprowadzić do pogłębiających się rozdziewików pomiędzy Zarządem Klubu a Zarząd Głównym PTTK"²⁷.

Po sezonie z dnia na dzień coraz bardziej widoczne staje się, że potrzeby Klubu nie są uwzględniane, a ingerencja w jego działanie organizacyjne i personalne osiąga rozmiary nie do zaakceptowania. Np. na kurs instruktorski

na Hali Gąsienicowej w kwietniu 1952 przyjeżdża przedstawiciel Prezydium ZG PTTK p. Milic z propozycją nie do odrzucenia, aby pięciu uczestników kursu instruktorskiego dla dobra Klubu zrezygnowało z ubiegania się o uprawnienia instruktorskie*. W efekcie, jak napisano w Wierchach... *"w obliczu różnych trudności Prezydium Zarządu Głównego Klubu Wysokogórskiego złożyło w dniu 9 maja br.(1952) rezygnację z swoich funkcji"*¹².

Ustąpienie Zarządu Głównego KW i w ślad za nim większości Zarządów Kół terenowych ułatwiło Zarządowi Głównemu PTTK zepchnięcie Klubu na pozycję jednej z wielu podległych mu komisji turystyki kwalifikowanej pozbawionych osobowości prawnej. Towarzyszą temu deklaracje bez pokrycia. Po ustąpieniu Zarządu Klubu ZG PTTK *"... powołał do życia Komisję Organizacyjną... na czele której stanął prof. Walery Goetel. Dalsze losy Klubu spoczywają na razie w rękach tej Komisji. Należy przypuszczać, że zarówno perspektywy rozwojowe (m.in. obiecywano książeczki turystyczne i wyprawę w Kaukaz w 1953 r.) umożliwią stabilizację stosunków w Klubie i że Walny Zjazd Delegatów będzie mógł wybrać nowy zarząd, którego praca zyska poparcie i zaufanie zarówno Zarządu Głównego PTTK jak i ogółu członków Klubu"*¹².

Patrząc z perspektywy lat trzeba stwierdzić, że wybór Paszuchy na prezesa Klubu nie był najszcześniejszy w tym czasie. Byłoby lepiej, gdyby w tym ciężkim okresie na czele Klubu stał Żuławski, człowiek nie tylko o aurytecie wysokogórskim ale i pozycji społecznej zdecydowanie przewyższającej swego kontrokandydata. Zarząd Główny oddalony od ośrodka dyspozycyjnego jakim była Warszawa, nie obeznany z układami na szczeblu

* Mowa o J. Długoszu, J. Honowskim, Z. Rubinowskim, J. Strojnym i o mnie. O ile zarzuty w stosunku do mnie w ówczesnych warunkach mogły być zrozumiałe bo po okupacji zaangażowany byłem w działalność antykomunistyczną i skorzystałem w 1947, a działalność w Klubie wznowiłem po opuszczeniu więzienia, w którym przebywałem oskarżony o przynależność do Ruchu Oporu AK, to jak mogliśmy wywnioskować, bo ich nie przedstawiono – Długosz miał być synem nafciarza, Honowski miał ciotkę znaną malarzkę, a Rubinowski i Strojny mieszkali w Domu Młodzieży Katolickiej.

centralnym, bez znajomości i bez doświadczonego aktywu nie mógł wiele zdziałać. Nie wydaje mi się jednak, aby w okresie największego nasilenia indoktrynacji politycznej *"sytuacja była do uratowania, gdyby aktyw Klubu Wysokogórskiego umiał zdobyć się na cierpliwość, umiar i przede wszystkim na kolektywne działanie. Tymczasem – rzecz prosta – środowisko taternickie nie było w tym okresie monolitem: rozbieżności ideologiczne, żarte walki "młodych" ze "starymi", wzajemne animozje ośrodków warszawskiego i krakowskiego wytworzyły stan głębokiego skłócenia i rozbitcia wewnętrznego. Niepowodzenie desperackiej niemal próby stworzenia w 1951 r. nowej, ściśle powiązanej ze sportem organizacji alpinistycznej (przy Centralnym Wojskowym Klubie Sportowym)... zniechęciła ostatecznie czołowych działaczy Klubu Wysokogórskiego. Ostatni wybrany w 1951 r. Zarząd Klubu Wysokogórskiego nie mogąc nadal znaleźć modus vivendi z Zarządem Głównym PTTK po kilku miesiącach (po roku) podał się do dymisji. Klub Wysokogórski faktycznie przestał istnieć i został przekształcony w Komisję Taternictwa Zarządu Głównego PTTK z siedzibą w Krakowie. Kierownictwo Komisji objęli ludzie nie posiadający autorytetu wysokogórskiego. Alpinizm polski wszedł w kilkuletni okres głębokiego impasu²⁷.*

Niewątpliwie "bunt młodzieży" nastąpił w niewłaściwej chwili. Nie sądzę jednak, aby w tym trudnym okresie i Żuławski potrafił zneutralizować restrykcje w stosunku do elitarnego Klubu, mógł je co najwyżej złagodzić.

Do Zjazdu nie doszło. Ówczesne władze PTTK po jakimś czasie w miejsce Klubu powołały do życia Komisję Taternictwa ZG PTTK z siedzibą w Krakowie, której kierownictwo objęli ludzie w większości nie posiadający autorytetu wysokogórskiego. Taternictwo utraciło wówczas już resztki swojej autonomii. Komisja zrównana została z innymi komisjami PTTK, jak np. turystyki pieszej,

kajakowej, kolarskiej itp. Przy kilku Okręgach PTTK Komisja Taternictwa powołała do życia Okręgowe Komisje Taternictwa, a te z kolei utworzyły przy niektórych oddziałach PTTK – Oddziałowe Sekcje Taternickie, ściśle z tymi oddziałami powiązane i od nich zależne. Działalność tej nowej, w dalszym ciągu jedynej organizacji wysokogórskiej, do której zresztą nie wszyscy taternicy zgłosili swój akces, była bardzo ograniczona.

Wypowiedź Marka Sobolewskiego świadczy o tym, że Krakowianie nie chcieli się pogodzić z wytworzoną sytuacją *"...Po dwóch latach organizacyjnego zastoju i niebytu krakowska sekcja taternicka podjęła znów swą działalność. Przystały już pociągać perspektywy reorganizacji na różnych poza turystycznych płaszczyznach... Ostatnie lata dowiodły, że "nie tędy droga w Tatry" i w góry wysokie i ta surowa być może dla wielu prawda nie da się złamać ani podpisami, ani gniewnym krzykiem taternickich sejmików. Ta właśnie jest fundamentem nowej sekcji krakowskiej... Nikt nam prezentów dawać nie będzie... dotacje państwowe mierzone będą nie na nasze żądania i deklaracje, ale na efekty konkretnej pracy... Tego nie zrobi szczupły zespół ludzi aktywnych i ofiarnych, który swoim wysiłkiem zastępuje i dziś jeszcze gadulstwo czwartkowych kibiców i skałkowych kawalarzy* ...chcemy mieć w sekcji zespół ludzi, zespół silny i liczny. Przestaliśmy już dawno być organizacją elitarną, ale masowość to nie przypadkowy dobór uczestników i członków. Kandydatów taternictwa musimy szukać... znajdując wśród turystycznego aktywu zakładów pracy, szkół i uczelni. Masowość to nie są jak dotąd ogłoszenia w gazetach ... ale planowa i cierpliwa praca nad pozyskaniem upatrzonych ludzi... Nie chodzimy w góry na gimnastyczne popisy ani dla zyskania rozgłosu. Nie jesteśmy klubem wspinaczy, tylko sekcją taterników... Słowo taternik oznacza człowieka w Tatrach... Człowieka dorosłego, a nie smarkacza. Czas*

* Nawiązanie do posmarowania towotem przez Erasja Jończyka w rewanżu za jakiś kawał kolegów, kilku dróg wspinaczkowych w Skalkach.

już popatrzeć krytycznie w taternicki "styl", który panoszy się w górach. Sekcja krakowska musi postawić przed sobą jako naczelne, główne zadanie wychowanie człowieka. Bez tego nie mamy prawa nazywać się socjalistycznym taternictwem i sądzę, że nie mamy prawa patrzeć w oczy uczciwym ludziom, którzy ciężko wypracowują dla nas chwile wytchnienia i radości w Tatrach"²³. Z wypowiedzi Sobolewskiego wysuniętego na przewodniczącego Okręgowej Sekcji Taternictwa w Krakowie widać, że stosunek aktywnej górsko części środowiska krakowskiego do organizacji utworzonej po likwidacji Klubu (chyba tak można nazwać przeprowadzoną reorganizację) był negatywny. Nie odmawiają współpracy z centralną Komisją Taternictwa PTTK, a ściślej z urzędującym jej przedstawicielem mgr Tadeuszem Kerem, wspomagając go w działaniach istotnych dla środowiska wysokogórskiego, przez cały okres "impasu" ta jednak liczna grupa buntowała się (wyrazem tego jest fakt, że mgr Kerc stał się bohaterem kilku satyrycznych ballad taternickich). Nie ma znaczenia, że jej sprzeciwy nie miały szans powodzenia i że była to "droga do nikąd". Drogę wynaleźli "starsi" z Żuławskim na czele i chwala im za to. Okręgową Sekcję Taternictwa PTTK w Krakowie z trudem utworzono dopiero z początkiem 1954 r. Podane artykuły ukazały się w kwietniu, a Polski Związek Alpinizmu, który po pewnym czasie wrócił do nazwy Klub Wysokogórski, powołany został w czerwcu tegoż roku.

Sobolewski pisząc o czwartkowych "gawędach" miał zapewne na myśli posiadany w lokalu PTT przy ul. Potockiego (obecnie Westerplatte), z którego Klub wyrugowano. W tym czasie spotkania klubowe odbywały się "pod gołym niebem" u drzwi budynku zajmowanego przez Komisję Górską ZG PTTK. Bez względu na pogodę frekwencja na nich była spora. Nie mniej warunki nie sprzyjały szerszym dyskusjom. Na spotkaniach tych wymieniano uwagi na bieżące tematy i umawiano się na weekendowy wypad w Dolinki.

Życie klubowe przeniosło się w Skałki odwieczane przez wszystkich prawie taterników krakowskich, także w celach towarzyskich. Dolinki dawały możliwość bliskiego kontaktu z naturą, wielu zauroczyły na całe życie. Dzięki bliskości skałek Jury Krakowsko-Wieluńskiej środowiska krakowskie i śląskie miały sytuację uprzywilejowaną. W skałkach wspinano się od wczesnej wiosny do późnej jesieni i to bez względu na pogodę. W czasie każdego weekendu przebywano po kilka dróg, co prawda jednowyciągowych, ale często trudnych technicznie, co zwiększało obycie ze skałą i procentowało w Tatrach. Temu całorocznemu treningowi przewodzili wychowankowie Pokutników. Starsi koledzy pożyczali sprzęt młodszym, służyli im radą i pomocą. Szybko zacierały się różnice pomiędzy szkolącym i szkolonym, o pozycji w zespole decydowały talent i zacięcie. Pasja górską grupy była tak silna, że dominowała ponad podziałami politycznymi czy społecznymi. Prowadziło to do zżycia się całego środowiska, a nowoczesna technika skalna szybko się rozprzestrzeniała i udoskonalała. Zawiazane w skałkach zespoły wspinaczkowe działały potem w Tatrach. Zazwyczaj absolwent kursu skałkowego po kursie dla początkujących w Tatrach prosił o przyjęcie na członka uczestnika, a z reguły po 3 latach zostawał członkiem zwyczajnym.

Dobrowolski stwierdza, że działalność Sekcji była bardzo ograniczona. Komisja poza akcją szkoleniową dla początkujących, imprezami o znaczeniu raczej propagandowym niż sportowym oraz pewnymi udanymi próbami produkcji sprzętu wysokogórskiego nie była w stanie nic więcej zdziałać. Pisz dalej... "Jakkolwiek tylko negatywnie ocenić można ten okres dziejów taternictwa, trzeba zwrócić uwagę, że w tych najtrudniejszych latach 1949–1954 zaczął się gwałtowny napływ młodzieży w szeregi taternickie"⁸. Podobnego zdania jest Żuławski. Działania Komisji Taternictwa ZG PTTK – pisze Żuławski – "nie sposób ocenić inaczej jak tylko ujemnie. Alpinści utracili wspólną platformę organiza-

cyjną. Komisja Taternictwa i Zarząd Główny PTTK nie potrafiły obronić słusznych praw polskich taterników do uprawiania działalności wyczynowej na i tak niewielkim terenie Tatr Wysokich... Taternictwo zostało zepchnięte na terytorium dwóch dolin Tatr Polskich. Doprowadziło to do obniżenia poziomu przynajmniej w zakresie taternictwa letniego. W ślad za rezygnacją z wyczynowości przyszła rezygnacja z planów wyprawowych, z udziału Polaków w walce o najwyższe szczyty kuli ziemskiej. Już wcześniej, bo w styczniu 1950 przestał wychodzić Taternik... nie umiano... pchnąć naprzód sprawy tak kluczowej jak zagadnienia sprzętu wysokogórskiego ani tak ważnej jak wydanie podręcznika zasad taternictwa. Aby nie pominąć nielicznych niestety pozytywnych wydarzeń, trzeba wspomnieć, że od 1951 zaczął się ukazywać – zresztą bez zasługi PTTK – szczegółowy przewodnik taternicki "Tatry Wysokie". Coraz większe sukcesy taternictwa zimowego w latach 1953-1954 świadczą o jego prawidłowym rozwoju... Bezpośrednią zasługą Komisji Taternictwa było prowadzenie na szeroką skalę szkolenia taternickiego. I tu wszakże popełniono wiele błędów, nastawiając się zbyt jednostronnie na szkolenie początkujących, w dodatku przedwcześnie wprowadzając ich na drogi zbyt trudne. Skutkiem tego posiadamy obecnie wielką ilość ludzi niedoszkolonych, a uważających się za samodzielnych taterników i atakujących ściany bez dostatecznego przygotowania i doświadczenia. Ponadto tym niedoszkolonym zbyt szybko, w sposób wybitnie lekkomyślny powierzono opiekę nad następnymi partiami początkujących²⁷.

Jak już pisałem przełomowym rokiem w zakresie szkolenia był rok 1951, a więc szkolenie taternickie na dużą skalę ruszyło jeszcze za czasów istnienia Klubu Wysokogórskiego PTTK, gdy na czele stanęli Krakowianie, a Kędzior, organizator szkolenia w Kole Krakowskim, przejął w swe ręce sprawy szkolenia centralnego. Chociaż w Sekcji Taternickiej ZG PTTK szkolenie było priorytetem i nigdy "przedtem, ani po ponownym reaktywowa-

waniu Klubu, akcja szkoleniowa nie była prowadzona z tak dużym nakładem funduszy i z tak poważnymi ułatwieniami dla uczestników i instruktorów"⁸, utrzymała się ona na zbliżonym poziomie. Na przestrzeni lat 1951–1954 liczba osób uprawiających taternictwo wzrosła z 400 do 1000, a np. w 1953 r. Główna Komisja Sekcji zorganizowała 2 obozy instruktorskie, a Komisje Okręgowe 7 kursów w Tatrach, w tym 2 dla zaawansowanych, przeszkalając w sumie 226 adeptów¹¹.

W tym okresie młode pokolenia "skałkowiczów" wzięło na swe barki główny ciężar szkolenia taternickiego. "Większość starszych i młodszych taterników oddała swe górskie doświadczenie i swój wolny czas do dyspozycji Klubu dla przeprowadzenia na szeroką skalę akcji szkoleniowej" (A. Dobrowolski: Wierchy t. XX:1950). W 1951 r. Krakowianie stanowili około 70% kadry instruktorskiej Klubu. Dominowali więc na wszystkich kursach i imprezach ogólnopolskich, a uczestniczyli w wielu środowiskowych. W zasadzie tylko środowiska śląskie i warszawskie prowadziły kursy dla początkujących własnymi siłami, przyczym spora część ich instruktorów to absolwenci ogólnopolskich kursów dla zaawansowanych szkolonych przez Krakowian. W ten sposób wypracowana w Skalkach przez Pokutników, a rozwinięta przez ich kontynuatorów nowoczesna technika wspinaczkowa i styl działań górskich zostały przejęte przez inne środowiska. Krytyczne uwagi Żuławskiego odnoszą się więc do instruktorów krakowskich i w znacznym stopniu pokrywają się z zastrzeżeniami zgłaszanymi do szkolenia skałkowego.

Zastrzeżenia Żuławskiego odnośnie prowadzenia kursantów na zbyt trudne drogi oraz powierzania funkcji instruktora czy pomocnika instruktora niedoszkolonym wynikają z niedoceniań efektywności szkolenia skałkowego oraz aktywności młodzieży. Nie bierze on pod uwagę, że doświadczenie górskie nie wiąże się z okresem przynależności do klubu i liczbą sezonów spędzanych w Tatrach lecz nabywa się go w trakcie działań w terenie

wysokogórskim. Zdobywa się go, a jego wykładnikiem nie jest czas wspinaczek. Wspinaczka wspinacze nie jest równa. Młodość nie obciążona obowiązkami zawodowymi, rodzinnymi czy towarzyskimi na działalność górską, która dla sporej jej części stała się pasją absorbującą bez reszty, mogła poświęcać więcej czasu niż starsi, praktycznie działający w Tatrach tylko w czasie urlopu*. Uprawianie wspinaczki w ciągu całego roku w istotnym stopniu zwiększało obycie ze skałą pokonywaną w różnych warunkach, wspinano się bowiem, jak zalecali Pokutnicy, w każdą pogodę i to procentowało w Tatrach. Do wypadu w "prawdziwe góry" przygotowywano się starannie, a w jego trakcie starano się zdziałać jak najwięcej. Chociaż dobre przygotowanie i kondycja pozwalały na intensywne działanie nieomal zaraz po przyjeździe w Tatry jednak wspinanie indywidualne zazwyczaj poprzedzał instruktaż na którymś z kursów. Udział w szkoleniu tatrzańskim uważano nie tylko za wypełnienie obowiązku społecznego ale i za świetny sposób wejścia w sezon. Dzięki temu "młodzi" ze środowiska krakowskiego uzyskiwali w tych latach najlepsze wyniki sportowe.

Dodam tutaj jeszcze jedną uwagę. Istnieje różnica zdań na temat, kto lepiej szkoli: młody, dobry technicznie wspinacz, stanowiący dla adepta wzór, który naśladuje i od którego przejmuje nie tylko technikę ale i entuzjazm i zapał, czy zawodowy instruktor rutynowo i poprawnie wykonujący swe zadanie.

Na koniec muszę odnieść się jeszcze do najcięższego zarzutu Żuławskiego dotyczącego wypadków górskich, będących zgodnie z jego sugestiami następstwem wadliwego szkolenia. W przedstawionej tabeli zestawiam wszystkie interwencje TOPR w wypadkach taternickich na przestrzeni lat 1947–1954 (publikacja Żuławskiego obejmowała ten okres).

Wykaz ten sporządzony w oparciu o Kroniki Wypadków Taternickich zamieszczonych w Wierchach^{19,20}, podaje wszystkie odnotowane sytuacje, w których taternicy wymagali udzielenia im pomocy, a tym samym jest dobrym materiałem do oceny wyszkolenia i poziomu środowiska klubowego.

W latach 1947–1954 zginęło w 7-miu wypadkach w Tatrach 9 osób, w tym do 1950 r. łącznie, a więc przed rozpoczęciem szkolenia na szeroką skalę, 5-ciu taterników w 4-ech wypadkach. Trzy z tych wypadków miały miejsce w trakcie działalności indywidualnej. Odnosi się to do śmierci Orłowskiego, wykorzystywanej przy ataku na Skalki, tragedii Nunberga i Woźniaka na Rumanowym, wypadku Abgarowicza na pn ścianie Mięgoszowieckiego Szczytu oraz młodych zakopiańczyków, najprawdopodobniej nie będących członkami Klubu na Niebieskiej Turni. Dwójka, która zginęła na Cubrynie to uczestnicy zimowego kursu warszawskiego.

W następnych czterech latach, w wypadkach taternickich zginęły 4 osoby czyli mniej niż poprzednio w tym samym okresie. Biorąc pod uwagę znaczne zwiększenie ilości czynnych taterników (na przestrzeni lat 1947–1950 ich liczba zwiększyła się z około 200 do 400, a w latach 1950–1954 z 400 do 1000), podniesienie poziomu wyszkolenia taterników jest wyraźne. Z analizy interwencji Pogotowia można stwierdzić, że większość akcji miała miejsce w rejonie szeroko pojętej Hali Gąsienicowej – co przy zakazie indywidualnego wspinania się w otoczeniu Morskiego Oka jest zrozumiałe i dotyczyła głównie zespołów zakopiańskich z reguły o większym stażu taternickim czy młodzieży warszawskiej i śląskiej nie szkolonej przez instruktorów krakowskich. Poza wypadkiem Westfalewicza – nie typowym, bo zdarzył się w trakcie akcji ratunkowej – Pogotowie współuczestniczyło tylko

* Jedną z przyczyn napływu były w dużej mierze bezpłatne kursy wspinaczkowe, których uczestnicy otrzymywali urlopy z pracy, sprzęt, wyżywienie i mieszkanie w schroniskach, a instruktorzy zwrot utraconych zarobków i stawki instruktorskie.

Interwencje TOPR w wypadkach taternickich w latach 1947–1954

1947			
21.07	pn. ściana Galerii Gankowej	W. Orłowski z siostrą (Kr)	+ Orłowski (Kr)
1949			
16-17.08	wsch. ściana Rumanowego	Nunberg (W), Woźniak (Kr)	+ Nunberg (W) + J. Woźniak (Kr)
1950			
5.04	Mięguszowicki Szczyt pn. ściana	Z. Abgarowicz (Poz), W. Ostrowski (W)	+ Agarowicz (Poz)
25.07	pn. ściana Cubryny	B. Iwańczyk, Skiba (W)	+ Iwańczyk (kurs W)
1951			
3.08	zach. ściana Kościelca	W. Słowikowski, Rórzewski (W)	
4.08	zach. ściana Granatów	J. Strzelecki (W) i tow.	
2.09	pd. ściana Zamarłej T.	J. Rudnicki, W. Drużyńska (Kat)	
1952			
7.07	pd. zach. Kozich Czub	K. Klauze, T. Dulczewski (W)	+ Klauze, + Dulczewski (W)
13.07	pn. ściana Koziego W.	W. Niedziałek, J. Krupski (Z-ne)	
26.08	pn. filar Granatów	J. Rudnicki, W. Drużyński (Kat)	
1953			
16.03	Kozia Przl. od pd.	M. Dżułyński, S. Kozłowski, M. Mischke (Kr)	
12.04	Mięguszowicki Szczyt pn. ściana	A. Truskowski (Kr)	
15.07	Kościelec	L. Dziędzielewicz, S. Urbański (Zak)	
15.07	pd-wsch Zamarła T.	B. Czekala (Śl)	
28.07	Zmarzła Przl. od pd.	J. Pukas, W. Kowalenko (Śl)	
26.08	Wierch pod Fajki	L. Kowalczyk, W. Kurkiewicz	
1954			
9.02	Wierch pod Fajki	Z. Lipińska, A. Drogowski (Tor)	
2.08	Żabi Niżni	Grajewski (W) kurs warszawski	
17.08	Mięguszowiecka Przl. Wyżnia	Milówka (Śl) kurs katowicki	+ Milówka (Śl)
18.08	Mięguszowiecki Szczyt droga po głazach	T. Westwalewicz (Kr) akcja rat.	+ Wesfalewicz (Kr)
19.08	pn. zach. Kozich Czub	K. Urbańska, J. Łukasiewicz	
22.08	wsch. ściana Świnicy	M. Grochowski, H. Miranda, M. Gryczyński (Ł)	
23.09	Kozi Wierch	J. Januszkowski, H. Czarnocki (Zak)	

w dwóch akcjach dotyczących zespołów krakowskich. Obu w zimie. W pierwszym wypadku, w czasie próby osiągnięcia Koziej Przełęczy od pd z lawiną zjechała trójka. Uczestnikiem tej próby był doświadczony taternik M. Mischke. Drugi wypadek, także niecodzienny zdarzył się na pn ścianie Mięgoszowieckiego Szczytu przy III próbie przejścia "diretissimy". A. Truszkowski został ranny młotkiem, który złamał się idącemu znacznie wyżej zespołowi Długosz-Skoczylas. W tym przypadku rannego z poważnej ściany wyprowadzili towarzysze.

* * *

Streszczając obszerniejsze opracowanie na temat Pokutników i ich kontynuatorów rozpedziłem się przekraczając wyznaczoną objętość i czas. Dlatego nie omawiam działalności sportowej w latach 1952–1955 ograniczając się do stwierdzenia, że zapoczątkowany 1951 atak młodej generacji wspinaczy na owiane mitem skrajnie trudne przejścia, nie powtórzone od wielu lat, zakończył się pełnym sukcesem w roku 1952. Rok 1953 przynosi gwałtowne rozszerzenie czołówki i wyniki zimowe nie tylko ilościowo, ale i jakościowo zdecydowanie przewyższające dotychczasowe. Natomiast osiągnięcia obozu na Słowacji w 1954 r. udowodniły, że polskie taernictwo letnie nie ustępuje poziomem czechosłowackiemu. Z konieczności więc zatrzymuję się na roku 1954, gdy dominacja Krakowian w sportowej działalności tatrzańskiej kończy się, a równocześnie znika to, co wyróżniało ich od innych taterników.

Apogeum działalności Pokutników przypadło na lata okupacji, gdy wspinanie po Tatrach połączone było z dużym ryzykiem osobistym, a działalność ich nie przynosiła im uznania nawet wśród taterników. Była ona atakowana przez sporą część środowiska taternickiego. Negatywny stosunek do prezentowanego przez nich kierunku nie pokrywającego się z dominującym w tym czasie w Klubie utrzy-

mywał się długo i przeniósł na Skałki i szkolenie skałkowe. Także i ich kontynuatorzy działali w trudnym, powojennym okresie, a pełną dojrzałość górską osiągnęli, gdy Tatry zostały dla nich faktycznie zamknięte. Była to spora grupa młodzieży o wyższej niż średnia aktywności, dla której góry stały się azyłem wolności. Byli ludźmi czynu. Nie obce im były doznania wynikające z kontaktu z górską przyrodą, czuli się jednak przede wszystkim sportowcami i dążyli do rozwiązywania coraz trudniejszych problemów wspinaczkowych. Taternictwo ich, aż po drugą połowę lat pięćdziesiątych było romantycznym. Wspinali się łamiąc obowiązujące przepisy prawa nie tylko w zamkniętym otoczeniu Morskiego Oka, ale i w Tatrach Słowackich narażając się w związku z tym na wypływające stąd konsekwencje z więzieniem włącznie oraz możliwością niegórskiej śmierci w górach w wyniku postrzału na zakazanym terenie. W wejściach drogami wspinaczkowymi na szczyty granitowe lub usytuowane w pobliżu uczestniczyli także taternicy z innych środowisk, ale działalność w głębi Tatr Słowackich była domeną Krakowian. Za sukcesy górskie, za wierność swej pasji, nie spodziewali się żadnej nagrody, a groziła im kara. Działalność ich była bezinteresowna.

* * *

Rok 1954 kończy okres impasu organizacyjnego w jakim znalazło się taternictwo polskie. Wiosną tego roku rozpoczynają się rozmowy z wybranymi działaczami spośród alpinistów starszej generacji i wkrótce GKKF powołuje Komitet Organizacyjny Pierwszej Ogólnopolskiej Narady Aktywu Wysokogórskiego początkowo pod kierownictwem Stanisława Siedleckiego, a potem Wawrzyńca Żuławskiego. Narada odbyła się 26–27 czerwca 1954 roku na Polanie Chochołowskiej. Uczestnicy wybrali 47-osobowe Plenum, z którego wyłoniono 12-osobowe Prezydium. Komisja Taternictwa ZG PTTK została rozwiązana, a powołano Sekcja Alpinizmu Zarządu Głównego PTTK z uprawnieniami sekcji GKKF.

To podwójne podporządkowanie było kompromisem służącym zbudowaniu polskiego alpinizmu wyczynowego. Nieomal z miejsca poprawiła się sytuacja taternictwa. Latem 1954 roku po pięcioletniej przerwie ruszają znów obozy taternicze w Tatrach Słowackich. Wkrótce otwały się i Alpy.

* * *

Prezydium Sekcji powołało komisję: Sportową, Szkoleniową, Wydawniczo-Propagandową i Alpinizmu Jaskiniowego. W skład Komisji Szkoleniowej weszli koledzy z Krakowa: T. Nowicki, K. Jakubowski i S. Biel – środowisku krakowskiemu przyznano zatem prymat w szkoleniu taterniczym. Komisja opracowała jednolity, ogólny regulamin dla wszystkich kursów taterniczych, obejmujący formalne wymogi organizacyjne, programy kursów, prawa i obowiązki kierownika, instruktorów i uczestników. Wprowadzono obozy międzyszkoleniowe i samodzielne grupy taternicze, których organizację powierzono terenowym sekcjom. W 1955 roku zorganizowano Ogólnopolskie Kursy Taternictwa Zimowego: dla początkujących na Hali Gąsienicowej (2 turnusy, 45 osób) i dla zaawansowanych w Morskim Oku (2 turnusy, 35 osób), następnie w lecie dla początkujących na Hali Gąsienicowej (5 turnusów, 90 osób) i dla zaawansowanych w Morskim Oku (4 turnusy, 60 osób). Sekcje zorganizowała 8 obozów zimowych i 14 letnich, międzyszkoleniowych (łącznie 235 uczestników) oraz 15 samodzielnych grup taterniczych (ok. 285 taterników). Podstawowe znaczenie miały instruktorskie kursy unifikacyjne przeprowadzone w 1955 i 1956 r. w Krakowie z zajęciami w Skałkach. Zapoznano na nich wszystkich znanych instruktorów z techniką wspinaczkową w wydaniu krakowskim wprowadzając ją jako obowiązującą. W programach tych kursów pojawiły się m.in. tematy: strategia i taktyka taternicka, samokontrola i trening, postępowanie w razie wypadku (samoratownictwo i ratownictwo koleżeńskie). W roku 1956, a w roku 1957 ukazał się pierwszy powojenny podręcz-

nik "Taternictwo". Autorami byli Adam Dobrowolski i Tadeusz Nowicki, rysunki wykonał Danuta i Karol Jakubowscy.

Intensywna działalność sportowa już w 1956 roku odciągnęła od szkolenia czołówkę taternicką i jej bezpośrednie zaplecze. Było to wielką szkodą dla kursantów. W tej sytuacji Komisja Szkoleniowa wystąpiła z propozycją powołania Szkoły Taternictwa na Hali Gąsienicowej, której bazą miała być i była Betlejemka wynajmowana na okres kursów. Kierownika Szkoły wyznaczała Komisja Szkolenia na dany sezon, a ten dobierał sobie kadrę instruktorską. Szkoła zorganizowana w 1957 roku działała w tej formie kilka sezonów. Po przerwie powrócono do tej idei. W Betlejemce powstała Szkoła Taternictwa, która przeszła na własność Klubu ze stałym, zatrudnionym na etacie kierownikiem.

Piśmiennictwo

1. Akcja Szkolenia Górskiego. sygn. B. M. [Bohdan Małachowski] Wierchy 1949, XIX, s.235
2. Akcja Turystycznego Szkolenia Górskiego oraz Sprawozdanie Komisji Szkolenia Górskiego KW PTT za czas od 2 lipca do 1 grudnia 1948. Taternik 1949, XXXI, nr 3-4
3. Baran Krzysztof: Historia wspinaczkowej eksploracji skałek podkrakowskich. Skałki Podkrakowskie. Przewodnik t.1, s.17-18
4. Dąbrowski Zdzisław: Sprawozdanie z działalności. Taternik 1938/39, XXIII, s. 73
5. Dolinkom i ich skałkom. sygn. A(baz) [Kazimierz Paszucha]. Pokutnik nr 1 s. 1
6. Działalność Koła Warszawskiego. W. Żuławski, Protokół z Walnego Zgromadzenia w 1949. Taternik 1956, XXXII, nr. 1-2, s.82
7. Kurs pomocników instruktorów. Taternik 1949, XXXI, s. 85
8. Działalność Klubu Wysokogórskiego w ramach PTTK. sygn. A.D. [Adam Dobrowolski], Wierchy, 1950, XX, s. 244

9. Taternictwo na Śląsku. sygn. J.H. [Jerzy Hajdukiewicz], Wierchy 1950, XX
10. Jaworowski Zbigniew: Biwak w śniegu. Wierchy 1950, XX, s.251–153
11. Kerc Tadeusz: Szkolenie Taternickie, Wierchy 1953, XXII, s. 267
12. Klub Wysokogórski PTTK w 1951/52, sygn. J. Koz. Wierchy 1952, XXI, s.245
13. Komisja Szkolenia Górskiego. Taternik 1949, XXXI, nr 3–4, s. 106
14. Krakowska Szola Wspinaczkowa. Pokutnik nr 2/3, s. 26–29
15. Lammer E. G.: Wie anders is das Besteige der Alpen geworden. cyt. za J. A. Szczepańskim w artykule "Jakże inne stało się zwiedzanie Tatr". Taternik 1938/39, XXIII, nr 1, s. 27–33
16. Letni sezon taternicki. sygn. J.H. [Jerzy Hajdukiewicz] Wierchy 1950, XX, s. 284
17. Manda Andrzej: Niemal wyznanie wiary. Taternik 1948, XXX, nr 1–2, 110–112
18. Paryski Witold H.: Wyprawa Klubu Wysokogórskiego PTT w Alpy 1947. Uwagi historyczne. Taternik 1947, XXIX, nr 4–5
19. Ratownictwo w latach 1947-1949. Kronika. Wierchy 1949, XIX s. 244–245
20. Ratownictwo w latach 1950–1952. Kronika. Wierchy 1952, XXI
21. Schemat krakowskiej szkoły. sygn. f-ka [Fryderyk Kędzior], Pokutnik 1948, nr 4, s. 22–24
22. Schramm Ryszard W.: Na nowych drogach. w: Na szczytach gór Europy. Wiedza Powszechna, Warszawa 1959, s.186–189
23. Sobolewski Marek: Krakowska Sekcja Taternicka na nowych drogach. Wyd. Sekcji Taternictwa PTTK. Kraków, kwiecień 1954
24. Sprawozdanie z Walnego Zgromadzenia KW PTT z 5.09.1948, Taternik 1948, XXX, s. 139
25. Unifikacja instruktorów taternictwa. Taternik 1949, XXXI, 1–2, s. 85
26. Walne Zgromadzenie KW PTT. Protokół. Taternik 1949 XXXI, 3–4, s.139
27. Żuławski Wawrzyniec: Obrachunki dziesięciolecia, Taternik 1956, XXXII, nr 1–2, s. 4

ROZWAŻANIA JUBILEUSZOWE

czyli jak się rodziło taternictwo poznańskie

Sześćdziesiąt lat temu, w wyniku połączenia się trzech organizacji taternickich: STPTT, STAZS i KWOWPTT powstał **Klub Wysokogórski Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego**. Klub oparty był o PTT, bo to była jedyna mocna organizacja, łącząca wszystkich ludzi gór. Dziś moglibyśmy na palcach jednej ręki policzyć tych jeszcze żyjących, którzy przed tym zjednoczeniem działali i na trwałe się zapisali w historii polskiego alpinizmu.

Rok 1935 nie był najajmniej początkiem polskiego taternictwa ani alpinizmu. Już przed pierwszą wojną światową nasi taternicy jeździli w Alpy, ale była to działalność indywidualna, co najwyżej typu towarzyskiego, w niewielkich, nieformalnych grupkach. Po wojnie, narastające w kołach wysokogórskich, a sformowane przez Romana Kordysa hasło, że "przyszłość taternictwa leży poza Tatrami", doczekało się realizacji w postaci kilku bardzo istotnych w historii alpinizmu wypraw, podejmowanych w ramach tych osobnych organizacji, często konkurujących ze sobą. Ale dla wszystkich było jasne, że "w jedność siła" i że działania na dalszą metę będą tym skuteczniejsze, im bardziej środowisko będzie zjednoczone. No i w wyniku kilkuletnich dogadywań się 22 września 1935 roku doszło do powołania Klubu Wysokogórskiego.

Cały ten proces został obszernie omówiony przez W. H. Paryskiego w jubileuszowym

XVIII roczniku WIERCHÓW* – i nie zamierzam tego obecnie powtarzać. Będą to więc tylko przyczynkowe wspomnienia i rozważania człowieka od młodości zafascynowanego górami i od dawna związanego z Klubem. Wiele szczegółów z tego mojego związania z Tatrami i Klubem Wysokogórskim można znaleźć w moim "Życiorysie Tatrzańskim"***.

Z Tatrami zetknąłem się po raz pierwszy latem 1935 roku, a więc jeszcze przed powstaniem KW. Jednakże Tatry i taternictwo interesowały mnie już wcześniej. Środowisko taternickie było wtedy ściśle zlokalizowane: trzy koła – Zakopane, Kraków i Warszawa (wymieniam je w kolejności ich organizowania się). Nieliczni taternicy z innych miejscowości musieli należeć do jednego z tych kół; z reguły było to koło zakopiańskie – bo wspięno się w Tatrach. Środowisko to wydawało mi się bardzo hermetyczne. Jak wejść do tego zamkniętego kręgu wtajemniczonych? Myślałem o tym zapewne tak, jak Tasker o wejściu do grona "prawdziwych" himalaistów***.

Moje taternictwo ukształtowało się najpierw czysto teoretycznie: na podstawie lektur, no i mapy. Już w roku 1938 zaprenumerowałem sobie "Taternika". Do samego wspinania się doszedłem przez szkółkę. O znaczeniu lektury dla rozwoju rozumienia istoty alpinizmu napisałem w wiele lat później w liście do Bolesława Chwaścińskiego: "mnie pchali

* Witold H. Paryski: Klub Wysokogórski PTT, Wierchy, Rocznik Jubileuszowy 1948, 18, 132-145

** Ryszard W. Schramm: Życiorys Tatrzański, Wydawnictwo Górskie, Poronin 1995

*** Joe Tasker: Dzika arena. Ati 1995

naprzód ideolodzy i grupy nieformalne, a przede wszystkim ci, którzy pisali – bo dużo czytałem, a w znikomym stopniu ci, którzy tylko chodzili – bo się z nimi nie stykałem. Oczywiście, są u korzeni mojego alpinizmu i konkretni ludzie: w pierwszym rzędzie Kok Narkiewicz i Staszek Motyka. (...) Oczywiście, (...) że to były autorytety. Ale ja już byłem przygotowany do rozmowy z tymi autorytetami – przynajmniej do stawiania pytań i to w ogromnej mierze właśnie przez Jaszczka (a także przez Stanisławskiego, Świerza, Kordysa, Zaruskiego – wszystkich, którzy sporo pisali). Naturalnie na początku byłem zupełnie bezkrytyczny – bo i skąd?!”*

W Poznaniu tuż przed wojną byłem – wydawało mi się – sam. Oddział PTT był w Poznaniu liczny i bardzo aktywny – taternictwa nie było. Starsi taternicy: Jakubski, Hetper, Młodziejowski, już się dawno w to nie bawili. Młodszy, jak się później okazało byli: Jurek Panek, syn pierwszego redaktora “Taternika” i Ola Korytowska – ale też chodzili swoimi drogami, samopas. Nie znałem ich. II wojna światowa zakończyła ich taternicze pączkowanie: Panek zginął, Korytowska wylądowała w Anglii.

Bezpośrednio po wojnie znalazło się nas trzech. Najpierw – obok mnie – Jurek Mitkiewicz, który przyjechał tu z Zakopanego studiować leśnictwo. W dzień po Nowym Roku 1947 zrobiłem z nim niebrzydką drogę – drugie przejście wschodniej ściany Zadniego Kościelca (miałem ją powtórzyć w blisko 30 lat później z moim synem). W odradzającym się zwolna po wojnie taternictwie zostałem odnotowany. W parę tygodni później zastałem w domu kartkę od mojego kolegi z niższych klas gimnazjum Zbyska Abgarowicza, z którym nie miałem kontaktu od kilkunastu lat, a w kilka dni później zjawił się on sam. No i zaczęło się...

W okresie Wielkiej Nocy 1947 zrobiliśmy ze Zbyskiem kilka ładnych dróg w otoczeniu Hali Gąsienicowej. W lecie “zamachnęliśmy się” na zrobienie członkostwa zwyczajnego KW. Naszą wyrocznią i kontaktem klubowym był wtedy Witold H. Paryski – i po sezonie letnim na jego ręce złożyliśmy podanie na członków zwyczajnych Klubu. Moimi wprowadzającymi byli Zbigniew Korosadowicz (jedną wspinaczkę z nim w czerwcu 1942) i Zygmunt Wójcik (kurs w sierpniu 1939); u Zbyska jednym był, o ile pamiętam, prof. Jan Moszew, chemik organik z UJ. Aż mnie zatkało, gdy w trzecim powojennym zeszytzie “Taternika” wyczytałem, że Zbyszek (jeden sezon zimowy i jeden letni – prawda, że dobre!) został członkiem zwyczajnym KW, a **o mnie ani słowa!** Interwencja u Paryskiego! Rzeczywiście, pomyłka – w podaniu do druku, ale nie w przyjęciu! Będzie sprostowane. I faktycznie w następnym numerze “Taternika” było podane, że zostałem członkiem zwyczajnym KW jeszcze o dwa tygodnie wcześniej niż Zbyszek; w tym samym dniu co i Jurek Mitkiewicz. Na lato 1948 zostałem wytypowany na wyjazd w Alpy razem z Jurkiem i jego, a teraz już i moimi przyjaciółmi – Józikiem Januszkowskim i Henrykiem (Pysiem) Czarnockim oraz kilku innymi kolegami. Zbyszek nie. Bardzo go to ubodło i zapewne stało się bodźcem do przyspieszonej ponad rozsądek aktywności i górskiej śmierci**.

No więc było nas już trzech członków zwyczajnych. Do powołania Koła KW, do czego zmierzałem, trzeba było sześcioro! Próbowałem namówić do reaktywowania się Jurka Młodziejowskiego, jedyne pozostałego w Poznaniu z dawnych, ale się nie dał. W Poznańskim Oddziale PTT zorganizowałam wielki kurs teoretyczny: dużo o górach, trochę o wspinaniu. Ale kiedy ten narybek dojrzeje? Skąd znaleźć trzech? Trzeba było szukać

* List do Bolesława Chwaścińskiego z 11 marca 1981

** Zbigniew Abgarowicz zmarł z wyczerpania po biwaku w pn ścianie Mięgoszowieckiego Szczytu 5.04.1950 r.

gdzieindziej. Właśnie niedawno w Toruniu powstał Uniwersytet Mikołaja Kopernika, którego kadre obsadzili w większości dawniejsi profesorowie Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Było między nimi trzech członków zwyczajnych KW: Zygmunt Czerny, Tadeusz Czeżowski i Edward Passendorfer. A w lecie 1947 znaleźli się w Tatrach dwaj dobrze zapowiadający się toruniacy – Leszek Michalski i Jurek Tomaszewski. Leszka trochę instruowałem w 1948 roku. Napisałem do toruńskich panów profesorów wyluszczając im myśl zorganizowania koła poznańsko-pomorskiego KW. Zgodzili się – i pod koniec 1950 roku koło powstało. Dokładna data jego utworzenia utonąła w mrokach niepamięci. Protokoły Zarządu Głównego KW z tamtych lat już dawno nie istnieją. Zawiadomienie o powołaniu Koła, chyba adresowane do mnie, leży zapewne gdzieś w stertach moich papierów wymagających uporządkowania (czy kiedyś to nastąpi?) Dopiero od końca lat sześćdziesiątych prowadzę systematyczną segregację mojej korespondencji). Wiadomości o istnieniu Koła Poznańsko-Pomorskiego pojawiają się w roku 1951, ale koło powołane zostało na pewno jeszcze w r. 1950.*

Ten załączek Koła Klubu Wysokogórskiego w Poznaniu szybko się rozpadł. Zbyszek Abgarowicz po skończeniu studiów wyjechał na Śląsk, gdzie uczestniczył w tworzeniu tamtejszego ośrodka taternickiego – i niebawem tragicznie zginął. Jurek Mitkiewicz po studiach wrócił do Zakopanego, pracował w obserwatorium na Kasprowym Wierchu, przez ostatnie kilkanaście lat jako jego kierownik. Nieco od nas młodszy Tadek Strumiłło, muzykolog, niezwykle zdolny i dynamiczny, wyjechał do Krakowa i też zginął w Tatrach**. Ale w

połowie lat pięćdziesiątych pojawił się w Poznaniu silny rzut młodych taterników, głównie “chowu” Tadek Strumiłły, których, po jego wyjeździe, a wkrótce śmierci, ja przejąłem i pchnąłem na szerokie wody polskiego alpinizmu. Pomału wzmocniło się też Pomorze – Toruń, Bydgoszcz. Rozstaliśmy się. Koło Poznańskie rozwijało się i w tym swoim rozwoju przechodziło okresy intensywnej działalności i pewnego zastojów, tak w Tatrach ja i na wyprawach, przyptywu i braku dopływu nowych sił, bezwypadkowości i licznych wypadków.

W lecie 1951 roku, po obozie dla zaawansowanych, Przemek Kuleszyński, student medycyny, rzucił myśl wydawania własnego piśmka (“Taternik” miał wtedy długą przerwę w ukazywaniu się i nie wiadomo było, jaki będzie jego dalszy los). Przemek zrobił też pierwszy numer piśmka, które, trochę żartobliwie, ochrzcziliśmy “Oscypkiem”. Od drugiego numeru wzięłem “Oscypka” w swoje ręce. Piśmko wydawałem całkowicie własnymi siłami; od pisania na woskówkach (młodzi pewnie nie wiedzą w ogóle co to takiego) i ręcznego powielania wałkiem do oprawy – prymitywnego zbijania w sztywniejsze okładki, a następnie rozsyłania po całej Polsce. Począwszy od tego drugiego numeru do każdego egzemplarza wklejaliśmy kilka własnoręcznie odbitych zdjęć. W technicznej stronie zabawy pomagała mi moja żona Halinka i zapalony Witek Machowski. Udało mi się zdobyć dla “Oscypka” grono dobrych autorów, nazwisk znanych, nawet wielkich w naszym alpinizmie, poczynając od J. K. Dorawskiego, W. H. Paryskiego i J. Hajdukiewicza. Począwszy od numeru 14 (kwiecień 1955) objął po mnie “Oscypka” Antek Gąsiorowski i dociągnął do

* W wydanej w r. 1971 powielanej jednodniówce “20-lecie Koła Poznańskiego Klubu Wysokogórskiego” błędnie podano informację, że koło KW w Poznaniu powstało w pierwszych miesiącach 1951 r.

** Pamięci T. Strumiłły i H. Czarnockiego, którzy zginęli w lawinie 12 kwietnia 1956 r. w trakcie zbiorowego zimowego przejścia grani Tatr Wysokich, został poświęcony ostatni, 18 zeszyt “Oscypka” (czerwiec 1956). **Brak biogramu Tadeusza Strumiłły w Wielkiej Encyklopedii Tatrzańskiej Z. i W. H. Paryskich uważam za jeden z najpoważniejszych mankamentów tej pięknej Encyklopedii.**

końca – tj. do numeru 18 (czerwiec 1956). Już wtedy znowu ukazywał się “Taternik”. Myślę, że “Oscypek”, który spośród kilku innych efemerycznych pisemek taternickich tamtego okresu wybił się zdecydowanie na pierwsze miejsce, stając się nie tylko ogólnoklubową, ale i ogólnopolską*.

Historycznie Koło Poznańskie Klubu Wysokogórskiego – obecnie Klub Wysokogórski w Poznaniu – jest piątym z kolei klubem w Polsce, po trzech przedwojennych i tylko nieco wcześniej utworzonym śląskim. W końcu lat pięćdziesiątych i w latach sześćdziesiątych byliśmy najaktywniejszym kołem KW. Przez szereg lat nie było u nas wypadków śmiertelnych. Myślę, że spory był w tym udział wpajanego przeze mnie młodym wielkiego szacunku dla gór, który jest podstawą bezwypadkowości. Z czasem zmieniło się – niestety – i jedno i drugie.

Co pamiętam z innej historii KW? Jak pisałem Klub Wysokogórski był dla mnie przed wojną nieosiągalnym marzeniem, a jego członkowie, zwłaszcza ci, co jeździli na wyprawy, niemal herosami. Widywałem ich, mijałem się z nimi na tatrzańskich szlakach, ocierałem się o nich. Śledziłam ich działania na łamach “Taternika”. Pamiętam, jak latem 1937 roku w nocy w schronisku w Roztoce słuchałem opowieści Koka Narkiewicza; jak latem następnego roku na ciasno zapchanej pryczy na pięterku tegoż schroniska starałem się zmieścić obok Witolda Paryskiego (dosyć był wtedy tegi!), jak w sierpniu 1939 w Murowańcu na Hali Gąsienicowej oglądałem Justyna Wojsznisa, Wawę Żuławskiego, Pawła Vogla – pewnie ich tam było więcej, ale tych zapamiętałem. No i Staszka Motykę, ideał dla mnie wówczas, a chyba i do dziś, taternika

i Pstrusia Pawłowskiego – ja byłem z ich szkółki. Na szlakach tatrzańskich spotykałem tych, którzy byli dla nich “starszym pokoleniem”. Przystawałem, żeby zamienić parę słów z Januszem Chmielowskim, gdy podchodził w towarzystwie Szymka Zaryckiego na swoje wspinaczki starych lat. Ile ich mógł mieć wtedy? Chyba blisko osiemdziesiąt, gdy go spotkałem koło Zmarzłego Stawu. Ano, leci czas... Ja się wspiąłem na Ostry Szczyt mając 74 lata...

Po wojnie dosyć szybko dorosłem do tych wielkich. Z niektórymi zaprzyjaźniłem się blisko: z Witoldem Paryskim, Staszkiem Siedleckim, Justynem Wojsznisem, Wawą Żuławskim. Może właśnie z nimi najbliżej także przez to, że – podobnie jak ja – nie tylko się wspinali, ale i działali organizacyjnie. A i oni mnie szybko zaakceptowali i przyjęli za swojego. Jako jedyne go z “młodszego pokolenia” zaprosił mnie Paryski jako wykładowcę na kurs szkolenia instruktorów taternictwa w styczniu 1950. Jako jedynemu, nie-alpiniście powierzyli mi kierownictwo obozu alpejskiego w Chamonix w 1957 roku.

W Poznaniu z tego pierwszego, starego już obecnie rzutu sprzed ponad czterdziestu lat, niektórzy działali mocno organizacyjnie, inni się tylko wspinali. Normalka. Było to pokolenie, które się dusiło w Tatrach w okresie ich dziesięcioletniego szczelnego zamknięcia, marząc o większych górach i ja starszy od nich – razem z nimi: wyjechałem poza Tatry pierwszy raz mając 37 lat. Ale w końcu doszliśmy do tych innych gór – i my i nasi wychowankowie i wychowankowie naszych wychowanków. Teraz odeszliśmy już chyba prawie całkiem od gór – i ja i oni.

Wierzę jednak, że coś po nas zostało...

* Szerzej o “Oscypku” patrz: “Taternik” 1959, 35, (2–3), 35–36

Ostatni Prezes KW

BMN – Był Pan od marca 1969 roku do marca 1974 roku, a więc przez dwie kadencje (5 lat) Prezesem Zarządu Głównego Klubu Wysokogórskiego. Nota bene, był Pan ostatnim Prezesem organizacji pod tą nazwą. Został Pan prezesem po wieloletnim okresie pracy dla Klubu, przeważnie na szczeblu centralnym. Inne to były czasy i inne było wtedy życie... Pracowaliście dla Klubu honorowo, przeżywaliście chwile trudne i smutne, ale także szokująco wesołe... Chciałabym, żeby mi Pan coś o tych czasach opowiedział. Wspomnienia te są bowiem dziś niepowtarzalne.

AJ – W roku 1950 w imię “klasowej polityki” władz, dla nadania naszej organizacji bardziej “proletariackiego” charakteru, Klub Wysokogórski stracił osobowość prawną i razem z PTT i Polskim Towarzystwem Krajoznawczym został zjednoczony w nowym Polskim Towarzystwie Turystyczno-Krajoznawczym. Klub Wysokogórski miał jeszcze pewną samodzielność, na Walnym Zebraniu w roku 1951 wybrany został ostatni jego Zarząd. Po pewnym czasie Zarząd ten podał się do dymisji, a władze PTTK powołały wówczas Komisję Taternictwa Zarządu Głównego PTTK z siedzibą w Krakowie. I tak utonęliśmy w olbrzymim molochu biurokracycznym, w półmilionowej organizacji społecznej, jako mały – bo ok. 1000-osobowy dział t.zw. turystyki kwalifikowanej. Byliśmy niechcianym i niesfornym dzieckiem i miało się to zmienić dopiero w roku 1956.

BMN – Omówmy ten “okres PTTK”. Był Pan już wtedy Prezesem Koła w Łodzi.

AJ – Mieszkałem w Łodzi w latach 1947–1957 i tam pierwszy raz ok. roku 1952 zetknąłem się z organizacją wysokogórską. Po prostu w jakimś oknie wystawowym moja żona zauważyła ogłoszenie o organizowanym

kursie teoretycznym taternictwa... i tak się zaczęło. Ukończyłem kurs teoretyczny jako jeden z najstarszych adeptów – miałem już 33 lata. Potem odbyłem kurs praktyczny w Skałkach Kroczyckich k/Zawiercia i wszystkie wymagane cyklem szkolenia kursy w Tatrach, łącznie z kursem zimowym. Tymczasem nasza organizacja po raz kolejny zmieniła nazwę w czerwcu 1954 roku. Nazwano nas Sekcją Alpinizmu ZG PTTK, a siedzibą była teraz Warszawa. Ja już działałem pod tą nową nazwą i tę nazwę pamiętam. Prezesem Koła Łódzkiego zostałem więc po czerwcu 1954.

BMN – “Okres PTTK” (1950–1956) opisał szczegółowo Adam Dobrowolski (Taternik nr 1/1971). Ocenia on ogólnie ten okres negatywnie, z wyjątkiem spraw szkoleniowych. Czy Pan – z punktu widzenia Koła w Łodzi, też tak ten okres widzi?

AJ – Muszę przyznać, że Dobrowolski opisał w swoim artykule nasze wcielenie do PTTK zarówno szczegółowo jak i obiektywnie. Pisał o możliwościach korzystania z lokali, o wznowieniu wydawania “Taternika” i o wyjściu poza Tatry Polskie (Słowacja, Francja). Dodałbym do tego niewielką dotację finansową i pewną pomoc w sprzęcie. Dostaliśmy kilka czekanów Aschenbrennera, kilkanaście lin szalowych i kilka par czeskich butów tzw. “wibramów”, które były wtedy ostatnim krzykiem mody, raczej turystycznej. Centralnie z Francji sprowadzono kilkaset lekkich, małych haków. Wiem o tym, bo sam je liczyłem i rozdzielałem.

BMN – Czy Pan pamięta z tamtych czasów jakiegoś nazwiska?

AJ – Prym w Kole Łódzkim wiedli wtedy: Władysław Manduk (starsze pokolenie) i Andrzej Wilczkowski, dziś znane nazwisko, inżynier i literat, wówczas najbardziej aktywny,

szczególnie w szkoleniu. W tamtych trudnych czasach zorganizował on nawet cotygodniową gimnastykę kondycyjną na terenie jednej ze szkół. Wtedy wchodził w alpinizm Jurerek Michalski – później jedno z pierwszych nazwisk naszego sportu.

BMN – Użył Pan określenia “trudne czasy”. W czym się te trudności przejawiały w życiu organizacji?

AJ – Przede wszystkim w braku środków finansowych u ludzi i w organizacji. Poza tem przede wszystkim w braku sprzętu i braku szans na jego zdobycie w najbliższej przyszłości. Był to okres pewnego ożywienia w sferze społecznej przy równoczesnej biedzie w sferze materialnej. Przytoczę taki drastyczny – dziś nawet komiczny – przykład. Miałem służbowo kontakty z przemysłem gumowym. Zakłady tego przemysłu w Grudziądzu produkowały trampki, które były wówczas jedynym, dostępnym obuwiem wspinaczkowym. Ja w Kole Łódzkim zajmowałem się także sprzętem. Z powodu stałego braku tramppek na rynku, sprowadzałem – przez znajomości – z Grudziądza wybrakowane trampki, pojedyncze sztuki, nie do pary, jak leci... Dopiero w Łodzi dobieraliśmy te trampki mniej więcej do koloru i do wielkości. Były one oczywiście bardzo tanie i szły jak woda... Kto dziś ubrałby takie obuwie?

BMN – A inny sprzęt? Pytam, ponieważ nie da się wspiąć bez sprzętu i trzeba by kończyć taternictwo na kursie teoretycznym.

AJ – Haki odkuwali nam kowale “po znajomości”, ciężkie, stalowe karabinki przywoził nam z podróży służbowych do Warszawy po kilka sztuk i też “po znajomości” nasz kolega klubowy prof. Nadziakiewicz. Oczywiście żaden sprzęt nie był atestowany. Jeden z kolegów uruchomił produkcję aluminiowych manierek; jedna z nich, jako pamiątka, cieszy mnie po dziś dzień. Wielkim osiągnięciem było uruchomienie produkcji pierwszych śpiworów i kurtek puchowych w niezwykle trudnych warunkach w Krakowie, na Kazimierzu, przez naszego niezapomnianego kol. Ludwika Radonia. Był problem z “pucho-

wym batystem” zwanym od symbolu fabrycznego – KLN – kalnem. Największym jednak problemem było zdobycie puchu gęsiego, który był poszukiwanym artykułem eksportowym. Dziś fenomenalne śpiwory produkuje firma należąca do naszego Andrzeja Zawady. Zaproponowałem mu, aby jeden ze swych modeli nazwał “Radon” (ze względu na eksport – nie “Radon”).

BMN – Przesłał mi Pan kiedyś sprawozdanie ze zorganizowanej przez Pana pierwszej wymiany bezdewizowej między taternikami polskimi a “skałolazami” z okolic Drezna (Elbsandsteingebirge). Był Pan też kierownikiem tej grupy w Tatrach. Jak ta wymiana wyglądała?

AJ – Jeśli chodzi o nasz pobyt w NRD to pamiętam, że w grupie była m.in. moja żona i Andrzej Wilczkowski. Wspinali się w cudownych nadłabskich skałkach Saskiej Szwajcarii, natomiast tragicznie niedojadali. “Niemcy demokratyczne” zgodnie z wymaganiami Moskwy, przeprowadzały wtedy przymusową kolektywizację rolnictwa i przeżywały w związku z tym kryzys żywnościowy. Jak 10 lat później pojechałem do NRD służbowo to często jeszcze dziękowano mi za przysyłane wówczas z Polski ziemniaki.

Nasi niemieccy goście to była młodzież, która nie miała dotąd styczności z górami takimi jak Tatry. Większość grupy stanowili robotnicy, było kilku studentów. Nad całością czuwał starszy pan, niewątpliwie “komisarz”. Zachowywali się wzorowo, nie miałem z nimi żadnych problemów. Z zazdrością patrzyłem na ich aparaty fotograficzne (mieli przecież u siebie zakłady Zeissa) – każdy nosił po dwa. Fotografowali z pasją w kolorze i czarno-biało, w czasach gdy ja rozprowadzałem trampki nie do pary i nie do koloru ... Z początku, w Warszawie ludzie reagowali z niechęcią na głośny język niemiecki, a pewna starsza pani, która straciła syna w powstaniu dostała spazmów.

Ciekawy był dalszy ciąg tych kontaktów. W grupie był technik poligrafii z Drezna, Konrad Hüttner, wyjątkowo sympatyczny

chłopak. Na drugi rok zaprosiłem go prywatnie w Tatry. Odmówiono mu wydania paszportu. Napisałem wtedy bezpośrednio do ówczesnego prezydenta NRD Wilhelma Piecka list, takiej mniej więcej treści:

"Moja Matka była Niemką. Dlatego należą do nielicznych po ostatniej wojnie Polaków, przyjaznych Waszemu narodowi. Dla przyśrołości chcemy budować przyjaźń... Jako prezes Koła Łódzkiego Sekcji Alpinizmu chcę i mogę w tym kierunku działać. Niestety władze Waszego kraju nie chcą wydać paszportu memu przyjacielowi Konradowi Hüttnerowi, z zeszłorocznej grupy wymiany, który zyskał naszą sympatię i godnie reprezentował Wasze młode państwo".

Dalszy przebieg sprawy był typowy. O dziwo – list mój nie został u nas zatrzymany i dotarł do adresata. Potem w Dreźnie ktoś komuś wydał polecenie: "Doprowadzić!", ktoś odpowiedział: "Rozkaz!" i wykonał... Pod fabrykę, gdzie pracował Konrad podjechało "typowe" auto. Dwóch panów w skórzanych kurtkach weszło do jego pokoju. "Konrad Hüttner??? ...wszystko zostawić, idziesz z nami". Zdyscyplinowany Niemiec nie pytał po co, dokąd... Po fabryce gruchnęło: "Dziś zabrali Konrada..." Zabrali... i za pokwitowaniem służbowo przekazali. Potem jeszcze gdzieś go przewieźli, aż – na miękkich nogach – stanął przed biurkiem w eleganckim gabinecie. Warknęło: "Konrad Hüttner?" – "Tak" – "Wnieśliście podanie o wyjazd do Polski?" – "Tak" – "Podpiszcie odbiór – możecie iść – tu jest przepustka na wyjście".

Do dziś jesteśmy z "aresztowanym" najlepszymi przyjaciółmi.

BMN – A "problem klasowy" taternictwa?

AJ – Dobrze, że mi Pani tę sprawę przypomniała... była ona bowiem typowa dla ówczesnego sposobu myślenia i działania władz, szczególnie na prowincji. Przypuszczam, że tu tkwi odpowiedź na stwierdzenie Adama Dobrowolskiego w przytoczonym wyżej artykule: "Ówczesne kierownictwo PTTK w sposób – już dzisiaj dla mnie niezrozumiały –

usiłowało pod różnymi pretekstami ograniczać Klub Wysokogórski".

Nie ulegało wątpliwości, że Klub Wysokogórski był i jest ekskluzywną organizacją studentów i inteligencji, do tej najwyższej włączenie. Alpinizm nie miał w Polsce tradycji proletariackiej, poza spacerami Włodzimierza Iljicza "szlakami Lenina". Fakt ten musiał podpaść ówczesnym władzom w Łodzi i obiecano mi w rozmowie zwiększenie dotacji na "sport robotniczy", zakup sprzętu itd. Ogłosiliśmy pospolite ruszenie, nabór robotników ... i nic. Długo starania nasze nie dawały żadnego rezultatu, aż wreszcie ... jest jeden. Ktoś przyprowadził swego kolegę. Młody, bardzo sympatyczny chłopak – o ile pamiętam – tokarz. Chodziliśmy koło niego jak w tym dowcipie: "A ty go, Sure, przykryj, żeby on się nie przeziębził". Dostał od nas podstawowy sprzęt, kurs skałkowy za darmo ... i nic. Po kursie więcej się nie pojawił. Uznał widocznie, że wysiłku fizycznego ma w swoim zawodzie po same uszy. Tak się skończyła próba uzdrowienia oblicza klasowego taternictwa w mieście Łodzi i potem nigdy już nie słyszałem o walce klas w alpinizmie polskim ... aż po rok 1970, gdy przypomniał mi o tym jako prezesowi ZG KW szef "alpinizmu" NRD.

BMN – Czy na tym kończy się "łódzki" okres Pana pracy dla taternictwa?

AJ – Może jeszcze dodam wesołą ciekawostkę... Otóż myśmy służyli władzom łódzkim za swego rodzaju folklor. Zapraszano nas jako grupę z ciupagami (tak zwano nasze czekany) do urozmaicania pochodów 1-majowych.

BMN – Pamiętam to także z pochodów krakowskich. Przejdźmy jednak teraz do reaktywowania Klubu Wysokogórskiego na Walnym Zjeździe w roku 1956.

AJ – Długoletnie starania naszego kierownictwa dały wreszcie wynik. Bez żalu pożegnaliśmy PTTK. Reaktywowany Klub przypominał strukturą dawny Klub Wysokogórski PTT, ale uzyskał osobowość prawną i był nadzorowany i dotowany bezpośrednio przez

władze naczelne polskiego sportu t.zn. przez Główny Komitet Kultury Fizycznej (GKKF), a później przez Główny Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki (GKKFiT). W chwili reaktywowania Klub miał 15 kół terenowych. Stał się też członkiem Union Internationale des Associations d'Alpinisme (UIAA).

BMN – Jak wyglądała pańska dalsza działalność w Klubie?

AJ – Z moich notatek wynika, że w roku 1957 byłem przewodniczącym Komisji Sprzętowej ZG KW, a w latach 1961–1969 – skarbnikiem ZG KW. Przez jakiś czas byłem równocześnie przewodniczącym Komisji Alpinizmu Niewyczynowego – była to krótka, ale owocna działalność. Pośrednich dat nie pamiętam. Kończąc – od 2 marca 1969 do 2 marca 1974 (przez dwie kadencje) byłem prezesem Zarządu Głównego Klubu Wysokogórskiego.

BMN – Wróćmy do momentu reaktywowania Klubu. Rok 1956 to w dziejach naszego narodu i państwa ważna data. Czy wypadki i zmiany polityczne, które wówczas nastąpiły, miały wpływ na działalność Klubu?

AJ – Oczywiście. Zmiany te w sposób odczuwalny zmniejszyły terror, rozbudziły nadzieje, wzmogły i umożliwiły aktywność jednostek dynamicznych (a z takich składał się Klub Wysokogórski), wprowadziły elementy demokracji..., a na naszym odcinku – co najważniejsze – ułatwiły dostęp do paszportów i rozszerzyły kontakty zagraniczne, także rodzinne. Sam otrzymałem pierwszy paszport na wyjazd grupy Grońskiego i Żuławskiego do Chamonix w roku 1957 i wreszcie przestałem bać się korespondencji Matki z rodziną w Niemczech Zachodnich. Ruszyła więc i nasza robota.

W czasie tego wyjazdu w 1957 roku zginąłem po raz drugi... Bowiem pierwszy raz w życiu zginąłem w roku 1938 gdy (byłem synem polskiego oficera, który walczył z Czechami o Śląsk Cieszyński) "bawiliśmy się" w małą dywersję. Zgubiłem wtedy legitymację gimnazjalną i Radio Ostrava podało, że zabito polskiego dywersanta Antoniego Janika.

Drugi raz... w Chamonix. Jednemu z Jugosławian, który poszedł z "Mojżeszem" Grońskim na grań Mont Blanc, pożyczylem moją legitymację klubową, żeby dostał zniżkę na kolejkę linową na Aiguille du Midi. Przypuszczalnie według tej legitymacji pierwsza depesza Agence France Presse informowała, że "zginął Stanisław Groński, Antoni Janik i jeszcze jeden Jugosłowianin". W Krakowie posłyszały to przez radio moja Matka i moja Żona. Podobno jednak do trzech razy sztuka...

Jeśli chodzi o moją działalność jako skarbnika, to dominującym wspomnieniem jest stały brak pieniędzy i fakt, że – mimo posiadania bardzo dobrego głównego księgowego – nigdy nie zdążyliśmy z terminowym przekazywaniem do GKKFiT bilansów rocznych. Powód: niesforne Koła nie przysyłały swoich sprawozdań. W GKKFiT byli jednak dla nas łaskawi... Trudności finansowe były wynikiem wzrostu naszej aktywności. Występowały one poważnie na odcinku zakupów sprzętu. Dla coraz większej liczby wypraw i zgrupowań centralnych potrzeba było coraz większej ilości sprzętu...

Dwie moje decyzje – przepraszam – dwa wnioski, jakie przedstawiłem Zarządowi do akceptacji, zapamiętałem w sposób szczególny. Dotyczyły spraw niewielkich, ale decyzje były typowe dla naszego ówczesnego stosunku do spraw, dla naszej polityki.

Sprawa pierwsza: Klub był do tego stopnia zcentralizowany, że koła terenowe odprowadzały zbierane od członków składki do Zarządu Głównego w Warszawie. Wkrótce po objęciu przeze mnie funkcji skarbnika Zarząd Główny uchwalił, że składki pozostają w Kołach, do ich dyspozycji. Miało to znaczenie przede wszystkim psychologiczne. Wyniki przysły natychmiast. Zwiększyła się ściągalność składek i zwiększyła się aktywność Kół w poszukiwaniu dodatkowych dotacji u władz terenowych.

Sprawa druga: W marcu 1964 zmarł w Szwajcarii, w wyniku odmrożeń, nasz ogólnie szanowany i wybitny kolega Krzysztof Berberka z Zakopanego. Osierocił żonę i 2 synów.

Wkrótce potem ZG KW uchwalił mój wniosek o dopłatach do składek członkowskich z przeznaczeniem na "Fundusz Pomocy im. K. Berbeki", gromadzony centralnie na koncie w Warszawie. Fundusz ten nigdy nie dysponował wielkimi kwotami, ale pomógł rodzinie Berbeki, a następnie jeszcze innym osieroconym rodzinom kolegów klubowych, którzy zginęli w górach. O "Funduszu" pisały nawet zachodnie periodyki alpinistyczne, jako o rozwiązaniu bezprecedensowym.

BMN – A Komisja Alpinizmu Niewyczynowego?

AJ – To jest odwieczny problem: czy alpinizm jest sportem, czy sportem nie jest... A jeżeli jest sportem, to gdzie kończy się on jako wyższy stopień turystyki górskiej, a zaczyna być sportem *sensu stricto*. Po reaktywowaniu Klubu w latach sześćdziesiątych liczba jego członków przekroczyła wkrótce 2000. Wzrosła samodzielność i aktywność jego kół. W oparciu o bardziej liberalne przepisy paszportowe wzrosły możliwości kontaktów zagranicznych, zarówno prywatnych jak i między organizacjami. Powstał problem pełnopłatnych wyjazdów zagranicznych członków Klubu w góry i do jaskiń.

Dotychczas ciągle mówiliśmy o taternikach i alpinistach. Wszystkie problemy dotyczyły także speleologów czyli grotołazów, którzy działali i organizowali się na wszystkich szczeblach Klubu. Zarząd Główny postanowił popierać wszystkie takie wyjazdy prywatne w zorganizowanych grupach. Wówczas, w oparciu o moje doświadczenia prywatne, postawiłem wniosek o powołanie Komisji Alpinizmu Niewyczynowego. Obok funkcji skarbnika zostałem jej przewodniczącym. Muszę tu podkreślić przychyłność GKKFiT, a szczególnie jego przewodniczącego Włodzimierza Reczka, bez którego zgody, takie uregulowanie nie byłoby możliwe. Daleki był jeszcze przecież okres "paszportu w szufladzie", a problem "wybierania wolności" jeszcze istniał. Był to więc wtedy problem wzajemnego zaufania.

BMN – Czy może Pan określić ilu ludzi, dzięki Klubowi Wysokogórskiemu, wyjeżdżało w góry i jaskinie świata i poznawało inną rzeczywistość?

AJ – Przejrzałem sprawozdania. Nie licząc Tatr Słowackich liczbę uczestników wyjazdów organizowanych centralnie, "służbowo" przez Klub oraz wyjazdów niewyczynowych można określić średnio na 150 osób rocznie. Biorąc pod uwagę przeciętny, wysoki poziom intelektualny członków Klubu, umożliwiałyśmy wyjazdy ludziom przeważnie młodym, którzy potrafili patrzeć, oceniać, pisywać, fotografować, filmować, przeżywać i cieszyć się życiem i górami. Muszę powiedzieć, że młodzież ta nie zawiodła. Nie znam przypadku trudności z powodu na przykład – dosyć powszechnego wtedy – przemytu i znam tylko kilka przypadków "wybrania wolności". Dotyczyły one prawie wyłącznie Ślązaków.

BMN – Czyli Pana ziomeków?

AJ – Tak, ja też jestem Ślązakiem.

BMN – Na tle tego, co współczesne pokolenie wie o tamtych czasach, ówczesna polityka Klubu (i GKKFiT) – "dawać ludziom piękno i szczęście przeżywania gór" – wręcz wzrusza. Czy pamięta Pan zdarzenia, wyjazdy, które Pana szczególnie cieszą?

AJ – Tak, niewątpliwie największym osiągnięciem Komisji Alpinizmu Niewyczynowego – bezprecedensowe w tamtych czasach – były wymiany bezdewizowe, zorganizowane w latach 1964–1969, w tym trzy czartery samolotowe z Club Alpin Suisse (Grindenwald, Zermatt i Chamonix) oraz jedna wymiana z francuską centralą młodzieżową "UCPA" (Alpy Delfinatu i Pireneje). W sumie, wyprawy te z naszej strony objęły około 200 członków KW, którzy – w innej formie – mieli mało szans na wyjazd w Alpy. Akcje te organizowaliśmy i realizowaliśmy wspólnie z moim przyjacielem i długoletnim działaczem Klubu, dziś profesorem w PAN, Janem Kowalczykiem. Nasza infrastruktura nie mogła jeszcze wtedy imponować i przyjmowanie tak wielkich grup wcale nie było łatwe. Nie obyło się też bez dramatycznych przypadków... sa-

molot, który miał zrealizować czarter, rozbił się na zachodzie i trzeba było odlot grup w Warszawie i Genewie przełożyć o jeden dzień. W pierwszej grupie miał miejsce tragiczny wypadek. Jeden z jej uczestników w wagonie sypialnym, 15 minut przed wjazdem na dworzec w Zakopanem zmarł w wyniku wylewu krwi do mózgu. Jego córka w tym czasie w Szwajcarii... piekła ciastka na przyjęcie naszej grupy. Ten trudny, nietypowy wypadek, spowodował wtedy wiele komplikacji, łącznie z interwencją Ambasady Szwajcarii u naszych władz.

Szczególny sukces odniosła druga grupa. Liczyła ona ponad 60 osób, z czego 54 Janek Kowalczyk wyprowadził na Mont Blanc.

BMN – To nawet dzisiaj imponuje.

AJ – Wtedy wręcz szokowało. W roku 1968 byłem delegatem Klubu na Zgromadzeniu Generalnym UIAA w Madrycie, gdzie moi koledzy z obszaru niemieckojęzycznego pytali mnie: *“Jak to jest? Żelazna kurtyna ”trzyma”, z alpinistami z NRD brak kontaktów, z Rosjanami, Czechami i in. kontakty są niewielkie i oficjalne, a wy organizujecie wy-cieczki na Mont Blanc”. W ich oczach, szczególnie na tle muru berlińskiego, psów i urzędzeń samostrzelających na granicy NRD, co Niemcy, Austriacy, Szwajcarzy znali w szczególności, byliśmy postrzegani jako oaza wolności. Uwierzyłem wtedy, że jednak Polska jest najweselszym barakiem w obozie socjalistycznym, jak głosił *vox populi, vox dei*.*

BMN – Wzrastająca atrakcyjność alpinizmu spowodowana także aktywną i skuteczną polityką Klubu Wysokogórskiego w latach sześćdziesiątych zaczęła przerastać jego możliwości organizacyjne i finansowe. Ludzie zaczęli szukać poparcia i pieniędzy gdzieindziej...

AJ – Dodajmy do tego, że Koła organizujące alpinistów i speleologów zaczęły się umacniać i usamodzielniać także w terenie i to poza – dotychczas zawsze przodującymi i najstarszymi ośrodkami – w Warszawie, Krakowie i Zakopanem. Pasporty już niekoniecznie trzeba było zdobywać via Warszawa.

Scentralizowany Klub Wysokogórski stopniowo przestawał być monopolistą.

Nie wiem, czy to była pierwsza jaskółka, ale “wiosną” tego problemu było chyba powstanie Polskiego Klubu Górskiego, dotowanego przez związki zawodowe, w Warszawie, na przełomie 1958/59. Powstanie tej separtystycznej organizacji owocuje już w latach sześćdziesiątych – jak na ok. 50-osobową sekcję alpinistyczną – ambitną działalnością niewyczynową i wyprawową (Kaukaz, Mongolia, Pamiir).

Kolejno – w latach sześćdziesiątych powstają inne organizacje taternickie i alpinistyczne. Powstają odrębne organizacje akademickie i sekcje taternickie przy PTTK. We wszystkich tych organizacjach duża część członków należy równocześnie do Klubu Wysokogórskiego. Nie mam wątpliwości co do tego, że w tamtym okresie członkostwo Klubu Wysokogórskiego nobilitowało.

BMN – Etos Klubu Wysokogórskiego trwa nadal i odejście chyba z jego ostatnimi członkami. Każdemu z nich piszemy w nekrologu przynajmniej “długoletni członek KW”.

Omawiamy dotąd sprawy organizacyjne i reorganizacyjne Klubu Wysokogórskiego i polskiego alpinizmu nie omawiając jego imponującej działalności sportowej. Jest to bowiem temat “morze”... Ciekawa jednak jestem, jak w tamtych czasach mniej lub bardziej realnej i dekretowanej przyjaźni układały się wasze stosunki z alpinizmem radzieckim. Przecież skazani byliście na przyjaźń i współpracę chociażby z powodu, że góry b. Związku Radzieckiego (Kaukaz, Pamiir, Ałtaj) były dla nas najbardziej atrakcyjne. Atrakcyjny był ich ogrom, ale przede wszystkim inne sprawy, jak problem dewiz, korzystna dla nas relacja cen itp. Jak to wyglądało w latach sześćdziesiątych?

AJ – Per saldo, przez wszystkie te lata, a także w okresie mej prezesury (1969–1974) góry wysokie ZSRR nie odegrały w działalności sportowej naszego alpinizmu nawet tej części roli, jaką pozornie mogłyby odegrać, chociażby z tytułu ogromu ich powierzchni.

Braki i niewydolność radzieckiej infrastruktury, a także względy polityczne, których nie znaleźliśmy, a których mogliśmy się tylko domyślać, spowodowały, że dostęp do gór był de facto biurokratycznie reglamentowany przez dwa – ściśle ze sobą współpracujące – ośrodki dyspozycyjne: ich Federację Alpinizmu przy “Ministerstwie Sportu” i przez pion związków zawodowych. Ten drugi dysponent przez szereg lat współpracował zresztą aktywnie z Polskim Klubem Górskim, będącym także organizacją przyzwiązkową. KW współpracował z Federacją Alpinizmu ZSRR i sporadycznie z większymi organizacjami terenowymi np. w Nowosybirsku, wielkim środowisku akademickim. W praktyce jednak więcej załatwiały prywatne rozmowy Andrzeja Paczkowskiego w Moskwie lub Staszka Kulińskiego w Nowosybirsku aniżeli oficjalne rozmowy między Klubem a Federacją Alpinizmu czy nawet moja rozmowa z ambasadorem ZSRR w Warszawie.

Wysokie góry ZSRR były atrakcyjne nie tylko dla nas. Równie atrakcyjne były dla wszystkich pozostałych demoludów, a dla niektórych (np. dla izolowanych od świata alpinistów NRD) nawet znacznie bardziej atrakcyjne, bo jedyne. Alpinieści krajów zachodnich także interesowali się tymi dla nich egzotycznymi górami... i do tego z poparciem argumentacji dewizowej.

Nasi przyjaciele w alpinizmie radzieckim – a byliśmy z nimi zaprzyjaźnieni – nie byli w stanie, przy ilości i jakości ich infrastruktury – sprostać tym zapotrzebowaniom, wliczając w to własne potrzeby. Poza tym... powiedzmy prawdę do końca... Mam przed sobą jedyne pełne sprawozdanie za lata 1969–1972 (sprawozdanie za lata 1972–1974 zaginęło!). W tych trzech latach Klub Wysokogórski zorganizował 45 zgrupowań i wypraw do 30 masywów górskich od Peru po Pakistan, w tym tylko 6 w góry ZSRR. Szeroki świat, dla nas już w praktyce otwarty, był po prostu ciekawszy.

BMN – Skoro ma Pan tak ściśle dane dotyczące lat 1969–1972, dla współczesnego

pokolenia już historycznych, to może wyliczy Pan kraje – poza Słowackimi Tatrami – do których polscy alpinieści naziemni i podziemni docierali i to w różnych organizacyjnie zespołach: prywatnie i półprywatnie, z dotacjami centralnymi i z dotacjami władz terenowych, ku uczeniu...

AJ – Cytuję te lata: Francja, Szwajcaria, Włochy, Jugosławia, ZSRR, Austria, Norwegia, Belgia, Rumunia, Peru, Pakistan, Maroko, Turcja, Mongolia, Iran, Afganistan. Razem 385 uczestników.

Wspomniała Pani o wyprawach “ku uczeniu...” Chciało mi się serdecznie w tym momencie śmiać. To był jeden z naszych – bardzo polskich i inteligentnych – sposobów na życie, ściślej mówiąc, na skuteczne zdobywanie przez Koła terenowe środków na organizowanie wypraw. Władze terenowe miały swoje ambicje na odcinku rozwoju sportu i alpinizm – z punktu widzenia autopropagandy – był wyjątkowo w tym okresie atrakcyjny. Szczególnie gdy w Kole “zdarzył się” syn lub córka terenowego prominenta.

Organizowano więc wyprawy “ku uczeniu” przemawiając do wyobraźni i dobrej woli terenowych decydentów, bossów przemysłu itp. Mieliśmy więc wyprawy i czyny jubileuszowe:

- dla uczczenia 20-lecia PRL,
- dla uczczenia 25-lecia PRL,
- dla uczczenia 50-lecia Wielkiej Rewolucji Październikowej,
- dla uczczenia 100-lecia urodzin W. I. Lenina itd.

Jedno z Kół zorganizowało wyprawę dla uczczenia 1000-lecia bitwy pod Cedynią. Przypomnijmy sobie, co się wtedy tam działo. Cytuję z leksykonu: “972 – zwycięska bitwa Mieszka I i Czcibora z wojskami margrabiego Hodona”. Cedynia to dziś mała miejscina w woj. szczecińskim. Trzeba było mieć kiepełę, żeby wymyśleć i zorganizować takie uczczenie przez alpinizm. Ślązacy np. zorganizowali w roku 1971 wyprawę jubileuszową w Andy z okazji 50 rocznicy III Powstania Śląskiego, pod wysokim patronatem bardzo przychylnego

naszym działaniom, ówczesnego członka Rady Państwa i Przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach gen. Jerzego Ziętki.

BMN – O tempore, o mores!!!

AJ – Takie były wtedy zwyczaje w naszym “obozie”. Czyż nie brzmi mobilizująco politycznie taki tytuł w Tatniku nr 4(1972) s.167: *“Pik Komunizmu na 50-lecie ZSRR”*. Z treści wynika, że to 50-lecie uczciły wejściem na “Pik”: zespoły 4-osobowe z każdej republiki radzieckiej oraz po 5 osób ze wszystkich krajów demokracji ludowej.

W Tatniku nr 4/1972, s. 182 znalazłem też tytuł: *“Rajd szlakami Lenina”* i to u nas w Polsce. Mały artykuł, ale impreza olbrzymia z dziedziny nam pokrewnej turystyki górskiej. Dziś można się nad tym głęboko zadumać... Cytuję: *“We wrześniu 1972 turyści górscy już po raz siedemnasty wyruszyli szlakami Rajdu – tym razem w 1412 drużynach o łącznej liczbie 5963 uczestników, w tym delegacje z Bułgarii, Czechosłowacji, NRD, ZSRR i Węgier”*. Signum temporis!

Dziś się śmieję... a przecież sam, już jako prezes ZG KW musiałem, gdy dano mi “cynk”, że należałoby “coś” urządzić na stulecie urodzin W.L.Lenina (1970), na zorganizowanym przez nas spotkaniu w Muzeum miasta Warszawy na Starym Mieście, wygłosić (bo nikt inny nie chciał) krótką pogadankę nt. *“Lenin a góry”*. Nic na ten temat nie wiedziałem, męczyłem się strasznie. Była to “mowa-trawa, ale była. Resztę wieczoru wypełniliśmy filmami z gór radzieckich. Proszę posłuchać, co z tego mojego “dukania” zrobił nasz Józek Nyka w Tatniku nr 2/1970, s.95: *“14 maja 1970 roku w Kole Warszawskim KW odbyła się wieczornica poświęcona stuleciu urodzin Włodzimierza I. Lenina. Pogadankę o jego wędrówkach po Tatrach i innych górach Europy wygłosił prezes KW Antoni Janik”*.

BMN – Czy to także na to 100-lecie alpinistów radzieccy skakali na spadochronach na Pik Lenina?

AJ – Nie wiem na pewno. Było to bowiem w roku 1968. U nich jednak wielkie rocznice czciło się dłużej, więc możnaby przypuszczać, że skoki te były z tej samej okazji. To była wielka tragedia. Szczyt ma przecież 7134 m wysokości. Z wysokości 8000 m skoczyło dziesięciu, szczęśliwie wylądowało (przy współpracy alpinistów) sześciu, a czterech zginęło zniesionych przez wiatr. Zbyt wielka tragedia, żeby nad nią dyskutować.

Poza “czynami” i wyprawami “ku czci” do politycznie umotywowanych dziwactw, które przyszły do nas ze wschodu należy nadawanie nazw “sezonowych”. O ile jeszcze – z oporem – przyjąłbym np. *“Szczyt Warszawa”*, to trudno zgodzić się na nazwę *“Szczyt XXV-lecia PRL”* w Pamiro-Ałtaju (lipiec 1969, Tatnik nr 4/1969, s.179). Dziś PRL już nie ma i przypuszczam, że i “szczytu” też już nie ma.

BMN – Wiemy już skąd polski alpinizm w latach po roku 1956 – po rozstaniu z PTTK – a także za czasów Pana prezesury do roku 1974, brał środki materialne na imponującą działalność rzeczową. Reasumując – były to:

- dotacje państwowe via GKKFiT na sport i wyczyn (także na sprzęt),
- oficjalne, często bezdewizowe, wymiany międzynarodowe,
- “czyny” i wyprawy “ku czci” organizowane przede wszystkim przez Koła terenowe.

AJ – Dodać jeszcze musimy, że we wszystkich kategoriach wyjazdów, poważną, a często dominującą (100%) rolę odgrywały środki własne uczestników. Tu dochodzimy do czwartej, niezwykle ważnej i owocnej możliwości organizowania wyjazdów na t.zw. zaproszenia. Były to więc popierane przez KW – de facto prywatne wyjazdy członków za ich własne pieniądze w góry świata w zorganizowanych grupach i z określonym celem. Było to wykorzystywanie pewnego luzu w przepisach paszportowych, dopuszczającego wyjazd na zaproszenie organizacji zagranicznej.

Zaproszenie takie mógł załatwić każdy, kto miał dobre układy z alpejskimi klubami zagranicznymi, ponieważ były one z zasady – nazwijmy to – grzecznościowe, pro forma,

“tylko dla urzędu paszportowego”. Wystawiający zaproszenie np. klub austriacki, dla 6 osób i 2 samochodów, musiał być pewny, że zaproszeni grzecznościowo, rzeczywiście nie zgłoszą się do zapraszającego o realizację jego zobowiązań formalnych. Zapraszający musiał bowiem zapewnić pokrycie kosztów pobytu, przejazdów itp.

Na Zachodzie każde takie zobowiązanie traktowane jest poważnie i uzyskanie zaproszeń napotykało – na początku – na poważne trudności. Szczególnie dotyczyło to zobowiązania się do pokrycia kosztów leczenia. Z biegiem czasu jednak utarła się praktyka, że nasze władze paszportowe tego zobowiązania nie wymagały. Zrobiono to chyba z przekonania, że i tak jesteśmy ubezpieczeni “w domu”.

Przez szereg lat, od roku 1968, brałem udział jako delegat KW, dwa razy w roku w posiedzeniach UIAA bądź Zgromadzenia Ogólnego bądź też Komitetu Wykonawczego. Rodziło to przyjaźnie, zaufanie, możliwość wyjaśnienia każdej sprawy i załatwienia każdej prośby. Wiele pomogła mi przy załatwianiu zaproszeń Niemiecka Republika Demokratyczna z jej strzelającą “żelazną kurtyną”, ogólnie znaną i potępianą. Logika była taka: jeżeli z NRD wyjeżdżać nie wolno, jeżeli z innych krajów za żelazną kurtyną wyjeżdżać wolno tylko z wielkim trudem, a Polacy mogą wyjeżdżać na grzecznościowe, czysto formalne zaproszenia, to należy im w tym pomóc. I pomagano nam, szczególnie gdy się okazało, że przez te lata nie było ani jednego przypadku niehonorowego zachowania się naszych zaproszonych.

W kraju odbywało się to prosto: ja mam samochód, ty załatwisz zaproszenie, dobieramy 1–2 osoby i jedziemy w góry. Tak wyjeżdżało niewątpliwie kilkadziesiąt osób rocznie. Ja sam mogę się dziś przyznać w tych latach do pięciu zaproszeń rocznie, co daje 5×3 samochody $\times 3$ osoby = 45 osób rocznie. Większości tych ludzi nie znałem, nazwiska przysyłał mi koledzy z terenu, których znałem i do których miałem zaufanie.

BMN – Było to wtedy działanie na granicy prawa – czy władze o tym wiedziały?

AJ – Oczywiście. Myślę, że nie reagowały, bo jednak nie było z nami kłopotu. Poza tym zawsze mieliśmy bardzo honorowe stosunki z GKKFiT. Raz tylko “podpadłem” i to wyłącznie z mojej winy i przez lekkomyślność. Kiedyś poproszono mnie – już jako prezesa KW – do MSW na Rakowiecką. W wytownym gabinecie przyjęło mnie dwóch panów na miłą rozmowę typu “co słyhać?” Znałem ten system, drżałem z niecierpliwości, wiedziałem, że najważniejsze przyjdzie na końcu. Kiedy się pożegnaliśmy i ja już naciskałem klamkę usłyszałem: “*Mamy jeszcze jedną do was prośbę. Kiedy piszecie o te wasze zaproszenia, nie piszcie, że to jest tylko potrzebne jakiemś urzędasowi*”. Wydukałem jedynie: “*Przepraszam.*” Czułem się jak szczeniak, bo to ja karygodnie przekroczyłem reguły gry. W piśmie do przyjaciela z Austrii, żeby go uspokoić, rzeczywiście tak napisałem.

BMN – Czy miało to jakieś dalsze, negatywne skutki dla Pana lub dla Klubu?

AJ – Chwała Bogu, nie. Ja dalej byłem prezesem i dalej załatwiałem zaproszenia.

BMN – Mówił Pan, że nie było z wami kłopotów, a jednak były i to za Pana kadencji. A propos – “proces taterników”.

AJ – Sam proces taterników miał rzeczywiście miejsce w lutym 1970 roku. Przerzuty “bibuły” przez Tatry miały zaś miejsce od roku 1968 począwszy, częściowo więc także za mojej kadencji.

Trudno będzie Pani w to uwierzyć, ale ja dokładnie o sprawie dowiedziałem się dopiero w lecie 1996 roku, gdy otrzymałem od Józka Nyki (daj mu Boże długie życie!) jego “Głos Seniora” z czerwca tegoż roku. Artykułu Joanny Podgórskiej w “Polityce” z 27.04.1996 nie czytałem. Pamiętam tylko, jak Andrzej Zawada opowiadał mi dokładnie, nazajutrz po rewizji, jak badano każdą stronę jego notatników... Pamiętam poczucie wielkiej krzywdy, jaką odczułem osobiście, gdy Andrzejowi, który był inicjatorem, organizatorem i kierownikiem wyprawy rekonesansowej na Malu-

biting (X.1969, Karakorum, 7100 m) odmówiono paszportu.

BMN – Czy mógł Pan interweniować?

AJ – Po przeczytaniu obecnie “Głosu Seniora” i po szczegółowym poznaniu sprawy, zadałem sobie to samo pytanie. Nie byłem jednak wtedy na tyle mocny, żeby interweniować. Gdybym był ministrem, jak mój poprzednik, Czesław Bajer, to może tak. Żeby interweniować, trzeba dokładnie wiedzieć o co chodzi i jakimi argumentami operuje przeciwnik. Ta sprawa była natomiast jakoś wyciszona, nawet w rozmowach poufnych, nie mówiąc już o tym, że nie została wniesiona pod obrady KW. Andrzej, gdy rozmawialiśmy na temat rewizji i paszportu, też nic takiego nie sugerował. Sprawa ta nie zahamowała jednak jego dalszych i większych sukcesów; los wynagrodził mu to niebawem Khiangyang-Kish'em. Z drugiej strony władze i służby specjalne nie wiązały “sprawy taterników” z Klubem jako organizacją. Jako prezes nie byłem interpelowany ani przez GKkFiT ani przez Rakowiecką. Sprawa przeszła obok nas i nie miała – jak mi się wydaje – żadnego negatywnego wpływu na pozycję i losy Klubu.

BMN – Był chyba taki film: “Nysą w Karakorum”. czy dotyczył on Karakorum 1969 już za Pana kadencji?

AJ – Tak. Szafirski i jego koledzy (Heinrich, Kuś i Petrycki) zrobili wtedy pierwsze wejście na Malubiting Północny (6843 m, 18.10.1969). Nie zdobyli natomiast, z powodu załamania się pogody, wierzchołka głównego Malubitingu (7100 m). Wyprawa ta była jednak tylko rekonesansem, pierwszym od roku 1939 pobytem Polaków w górach najwyższych i wykonano w pełni założone zadanie. Był to szczęśliwy początek moich dwóch kadencji, chociaż był to rezultat pracy naszej czołówki w okresie poprzednim. Było to godne uczczenie 30-lecia pierwszego zwycięstwa Polaków (Jakuba Bujaka i Janusza Klarnera) w Himalajach na Nanda Devi East (7434 m).

Młode pokolenie już nie wie, co to było za cudo ta “Nysa”. Był to autobusik-maleństwo na 9 osób, produkcji polskiej, przestarzały

technicznie. Nysa ta dojechała jednak przeciążona do Pakistanu i spowrotem. Smutny był jednak jej koniec... Po powrocie zostawiono ją na noc na ul. Sienkiewicza 12, gdzie mieścił się wtedy Klub i w nocy mróz spowodował pęknięcie bloku silnika. *Sic transit gloria mundi*.

BMN – Najwięcej zrobiliśmy w sporcie. Dołączyliśmy do czołówki europejskiej i to zarówno w lecie jak i w zimie, w alpinizmie i mężczyzn i kobiet. Ustaliliśmy, że będziemy unikali omawiania osiągnięć sportowych Klubu, które w tym okresie stanowią już “temat-morze”... Dwie kadencje, w których był pan prezesem KW stanowią jednak wyraźny przełom i postęp w waszych wynikach. Podziwiam wręcz odwagę w stawianiu i konsekwencję w realizowaniu celów, przy skromnych przecież środkach.

Wypunktujemy:

- Karakorum – Malubiting Północny jako rekonesans – wyprawa udana, przygotował, zorganizował i miał nią kierować Andrzej Zawada;
- Karakorum – Khiangyang-Kish – pierwsza po wojnie wyprawa zdobywcza, kierownik Andrzej Zawada;
- Hindukusz – Noszak 7492 m – pierwsze na świecie zdobycie siedmiotysięcznika zimą, kierownik Andrzej Zawada.

Przecież Noszak to jakby próba generalna przed I zimowym wejściem na Mount Everest – co za wyobraźnia!!!

AJ – O wszystkim decydują ludzie. Miałem szczęście pełnienia funkcji prezesa KW, gdy organizacja nasza była silna organizacyjnie, a sportowo bardzo silna, gdy mieliśmy nie tylko przychylność, ale i uznanie władz zarówno sportowych jak i politycznych. Exemplum: nagroda Ministra Spraw Zagranicznych za wybitne osiągnięcia sportowe, które przyczyniły się do rozstawienia imienia Polski w świecie (wręczenie 7.01.1972). Były i inne wyróżnienia.

Poza tym – wszystkie trzy osiągnięcia najwyższej miary połączyła Pani z nazwiskiem Andrzeja Zawady. Ja mogę się pod tym dzisiaj

tylko – ze wzruszeniem – podpisać. Andrzej Zawada zaczął bowiem realizować swe odważne i dalekosiężne plany. Jego zasługi dla polskiego alpinizmu są wielkie i piękne, nieporównywalne. Mnie przypadało w udziale zmaganie te wspierać w myśl przyrzeczenia, jakie dałem Walnemu Zjazdowi przy wyborze: *“Będę prezesem na ”tak” a nie na ”nie”*.

Pomyślmy – rozmawiamy w lutym 1997 roku, prawie 30 lat od tamtych czasów, a polska wyprawa, znowu pod kierownictwem Andrzeja Zawady, pokusiła się o pierwsze zimowe wejście na Nanga Parbat (8125 m), na górę, która pochłonęła dotychczas największej ludzkich istnień. Wprawdzie ostatnie wiadomości z Pakistanu donoszą, że z powodu załamania się pogody, atakujący musieli zawrócić z ok. 200 m do szczytu, ale to nie zmienia niczego w tym, co powiedziałem. Powrót do swoich, kilkaset metrów przed nieosiągalnym celem jest większym zwycięstwem, jest zwycięstwem nad sobą. *Chapeaux bas!*

BMN – Khiang Kish (7852 m) zdobyty 26.08.1971 przez zespół: Heinrich, Stryczyński, Szafirski i Zawada to zwycięstwo, ale i ofiara ...

AJ – Tak, zginął nasz kolega i przyjaciel Jan Franczuk. Józef Nyka w *“Taterniku”* nr 2/1971, s.49 napisał na temat ryzyka śmierci w górach, krótki ale serdeczny artykuł pt. *“Sprawy najboleśniejsze”*. Tak – śmierć przyjaciela, symbolicznego *“drugiego na linie”* jest dla alpinisty tragedią wielokrotną. Nigdy np. nie byłem w stanie przemawiać nad Ich grobami, a gdy – jako prezes – żegnałem tych pięknych, młodych ludzi przy odlocie na lotnisku, gdy patrzyłem w ich oczy i ścisnąłem ręce, zawsze modliłem się w duchu: *“Boże, daj żeby wszyscy wrócili”*. Byłem od nich starszy, uboższy o wiele złudzeń i nadziei, bogatszy jednak doświadczeniem uczuć i przeżyć. Tragiczne to przeżycie, gdy srebrny ptak, po wyjściu pasażerów kołuje na pas boczny i gdy z luku wysuwa się trumna przyjaciela...

BMN – Po krótkim omówieniu najwyższych osiągnięć w działalności sportowej, powróćmy do naszego ostatniego tematu – reor-

ganizacji Klubu Wysokogórskiego i powołania Polskiego Związku Alpinizmu.

AJ – Kończę już temat osiągnięć, bądźmy jednak sprawiedliwi. Zajęliśmy się trzema wyprawami szczytowymi: Malubiting – Khiangyang-Kish i Noszak. W sumie osiągnięć było w tym czasie wyjątkowej – na tle przeszłości – aktywności, bardzo wiele. Była to suma wyników wypracowanych nie tylko przez wyprawy centralne, ale w wielkiej mierze przez Koła terenowe, które wzmocniły się organizacyjnie i finansowo i gdzie znaleźli się ludzie ambitni z talentem organizacyjnym i sportowym. W naszych statystykach tamtych lat, przeciętnie 60% wyjeżdżających w góry i jaskinie świata stanowili uczestnicy wypraw organizowanych przez Koła.

Zupełnie nieprzypadkowo otrzymana nagroda MSZ, o której już wspominałem, dotyczyła – *ex aequo* – także I Polskiej Wyprawy w Andy Peruwiańskie, zorganizowanej przez koła śląskie. Nic zatem dziwnego, że w *“Taterniku”* z tamtych lat spotykamy takie tytuły jak *“Sezon jakiego nie było”* (J. Nyka, *Taternik* nr 4/1971, s.141), a Przewodniczący Komisji Sportowej i Wiceprezes KW, Andrzej Paczkowski na plenum 28.11.1971 stwierdził: *“... wyniki alpinistyczne ostatniego lata można bez wątpienia uznać za rekordowe w całej historii Klubu Wysokogórskiego”*. A przecież był to dopiero początek nowych polskich rekordów w górach, jakie przyniosły następne dziesiątki lat... właśnie pod kierownictwem Andrzeja Paczkowskiego.

BMN – Omawiając reaktywowanie Klubu Wysokogórskiego na Walnym Zjeździe w grudniu 1956 roku mówiliśmy o uznaniu alpinizmu przez władze za sport i podporządkowanie Klubu Głównemu Komitetowi Kultury Fizycznej i Turystyki...

AJ – Jeśli chodzi o struktury i formy działania między rokiem 1956 a 1974 (powołanie Polskiego Związku Alpinizmu) w zasadzie nic się nie zmieniło. Działaliśmy w ramach GKKFiT, cieszyliśmy się uznaniem i wsparciem, mieliśmy dużą autonomię i swobodę działania, a struktury centralne i terenowe

Klubu funkcjonowały według zasad faktycznej demokracji. Dziś, ze współczesnego punktu widzenia, tamtej, naszej wewnątrzklubowej demokracji, swobodzie podejmowania decyzji, prawidłowości wyborów itd. niczego zarzucić nie mogę.

Równocześnie w oparciu o sukcesy sportowe w latach 1956–1974 Klub Wysokogórski staje się popularny. Jeżeli w roku 1956 liczyliśmy ok. 1000 członków, to w roku 1973 w 15 kołach było ich 2740. Musiało to spowodować tendencje odśrodkowe, tymbardziej, że w PRL następowała już pewna decentralizacja życia społecznego i politycznego. Wzrastały w terenie możliwości uzupełniania niewystarczających środków centralnych. Wzrastała też aktywność i samodzielność środowisk akademickich i organizacji turystycznych. Adam Dobrowolski, w przytaczanym już wielokrotnie artykule w Tatniku nr 1/1971 stwierdza wyraźnie: *“Nikt nie wie ile jest organizacji”* i ocenia je następująco:

1) Polski Klub Górski powstały w latach 1957/58 w pionie związków zawodowych, mały, ale bardzo aktywny, 300–400 osób, w tym 40–50 alpinistów;

2) Kluby Tatrzańskie i Taternickie PTTK (Warszawa, Kraków, Szczecin, Kielce i in.) – razem 600–700 członków;

3) FAKA – Federacja Akademickich Klubów Alpinistycznych – powołana 27.01.1971 – 14 klubów i sekcji w 10 miastach, organizacja macierzysta: Związek Studentów Polskich, 700 członków.

4) bliżej nieokreślone organizacje speleologiczne, np. “Aven” w Częstochowie czy “Boby” w Żaganiu.

Równocześnie nadal poważna część członków tych organizacji należy do Klubu Wysokogórskiego.

BMN – Mówiąc dosadnie – zrobił się bałagan. Nie myślę tu o bałaganie organizacyjnym, bo miał on swe uzasadnienie (podział środków, ambicje), ale z punktu widzenia niebezpieczeństw związanych z alpinizmem i speleologią. Ci wszyscy ludzie prą przecież

w góry i to niekoniecznie po zabezpieczonych ścieżkach.

AJ – Nie byliśmy wtedy przygotowani na taką popularność naszego sportu. Nie myślę tu nawet o ciasnocie w Tatrach i naszej skromnej infrastrukturze. Z tym jakoś dalibymy sobie radę. Pomogłyby nam konwencje graniczne z naszym południowym sąsiadem, względna swoboda paszportowa i nasza – godna podziwu – umiejętność załatwiania zaproszeń i środków własnych. Myślę o ilościowym i jakościowym braku sprzętu oraz o krytycznych wręcz niedomaganiach w zakresie szkolenia.

BMN – Nie jest to przecież szkolenie ani łatwe, ani tanie. Kurs teoretyczny, kurs skałkowy, kurs letni dla początkujących, kurs letni dla zaawansowanych, kurs zimowy i ew. kurs instruktorski...

AJ – Gdzie to realizować? Skąd brać instruktorów? Atestowany sprzęt? A infrastruktura? Kilka namiotów na “Rąbanisku”? Jak więc sprostać obowiązkowi wynikającemu z faktu, że Klub Wysokogórski miał uprawnienia związku sportowego, przy równoczesnym braku realnych możliwości sprawowania tej funkcji? Tymczasem liczba wypadków w górach wzrastała, co niepokoiło i władze polskiego sportu i nas.

Niełatwo było uruchomić działania dla – nie tylko poprawy – ale wprost generalnej zmiany sytuacji na trzech odcinkach: organizacji (statut), szkolenia i sprzętu. Nie darmo Andrzej Wilczkowski napisał w swoich “Refleksjach melancholijnych” (Tatnik nr 2/1972, s. 59): *“Jeżeli Klub jako całość nie zrozumie w porę, że alpinizm to nie tylko uprawianie sportu, ale również jego o r g a n i z o w a n i e, źle się to dla nas skończy”*. Wilczkowski pisał to wprawdzie w roku 1972, po mojej pierwszej kadencji, ale już w roku 1969 sytuacja była identyczna. Sport, wyjazdy i wyprawy mobilizowały i wyczerpywały siły i środki, gorzej było z energią dla spraw organizacyjnych.

BMN – Co zatem w ciągu Pana dwóch kadencji zrobiło się w sprawach szkolenia o sprzętu?

AJ – Co do szkolenia wymienię tylko sprawy zasadnicze:

- przenieśliśmy Komisję Szkolenia do Krakowa – zaangażowało to nowych, aktywnych ludzi, rozszerzyło i poprawiło pracę;
- zdobyliśmy – nie bez trudu – stałą siedzibę dla Szkoły Taternictwa – “Betlejemkę” na Hali Gąsienicowej (20.06.1973),
- zaangażowaliśmy stałego, fachowego kierownika szkolenia,
- uruchomiliśmy Dwuletnie Studium Instruktorów Taternictwa przy Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego (obecnie AWF) w Krakowie – inauguracja 6.05.1973.
- ustaliliśmy organizację szkolenia i zasady egzaminowania instruktorów taternictwa,
- wprowadziliśmy odznakę: “Instruktor Taternictwa”,
- zawarliśmy z Federacją Akademickich Klubów Alpinistycznych (FAKA) umowę o szkoleniu ich członków,
- uruchomiliśmy wydawanie zeszytów szkoleniowych (4 rocznie).

BMN – A sprzęt?

AJ – W sprzeczce było dalej niedobre. Było go za mało, nie było pełnego asortymentu, jakość pozostawiała wiele do życzenia. Postęp był tylko w sprzeczce dla wypraw: specjalne namioty, specjalne obuwie zimowe czy środki łączności. Zawsze, gdy przyjeżdżali do nas przedstawiciele NRD, prosiłem ich, żeby nie przywozili nam niedźwiadków jako herbu Berlina, ale żeby nam przywieźli kilka lekkich karabinków, które oni mieli, a my nie. Haki tytanowe “zdobywaliśmy” od kolegów radzieckich, ale i my sami “załatwialiśmy” wyjazdy w ich góry za kurtki puchowe. Był to problem, który rozwiązać mógł dopiero wolny rynek. W wyniku naszych stałych interwencji, dano nam wprawdzie pieniądze na sprzęt, ale nie w pieniądzech tkwiły problemy.

BMN – Przechodząc do sprawy reorganizacji polskiego alpinizmu omówmy teraz temat statutowy: federacja czy związek?

AJ – Psychologicznie było to zadanie najtrudniejsze. Klub Wysokogórski cieszył się niewątpliwie estymą społeczną. Dla jego

członków, a szczególnie dla działaczy, była to organizacja bliska sercu. Jeżeli można organizację kochać, to myśmy ją kochali. Klub Wysokogórski i góry, które on “dawał”, był dla wielu “sposobem na życie” w tym dziwnym świecie permanentnych braków, centralizmu demokratycznego i walki klas. Trudno było kolegom zasiąść do prac nad statutem, o którym wiedzieliśmy, że organizację naszą “po-grzebie”.

Pracujący w Zarządzie Głównym KW zespół, w czasie kadencji 1969–1972 przeprowadził wszystkie prace przygotowawcze, które umożliwił podjęcie decyzji o reorganizacji na koniec mojej następnej kadencji. Udowadnia to przytoczony niżej wypis ze sprawozdania ZG KW na VII Walny Zjazd Klubu w marcu 1972 roku, s. 14: “– *zebrano* (po raz pierwszy – AJ) *wszystkie dane o organizacjach taternickich i speleologicznych na danym terenie;*

– *opracowano, przedyskutowano i wstępnie zaakceptowano przez GKKF-T statut przyszłej, polskiej federacji alpinizmu;*

– *przesłano nowy statut do Kół KW i zainteresowanych organizacji, zebrano uwagi, zastrzeżenia i propozycje”.*

BMN – Jak przebiegała na Zjeździe dyskusja nad tym, co Adam Dobrowolski zaproponował w imieniu Komisji Statutowo-Organizacyjnej?

AJ – W materiałach przeczytałem lapidarne podsumowanie: “*dyskusja była bardzo rozbieżna, przeważały tendencje zachowawcze*”. Było to wtedy zrozumiałe. Przeważały względy emocjonalne.

BMN – Jaka była sytuacja po Zjeździe?

AJ – Sytuacja była następująca:

- władze sportowe domagały się reorganizacji, dopasowania KW do nowej sytuacji, żądają koordynacji. Jeśli chodzi o nazwę, to dla GKKFiT “klub jest klubem, a federacja federacją”;
- stanowisko Zjazdu – sądząc po dyskusjach – było raczej negatywne, względy emocjonalne przeważały nad rzeczowymi;
- “za” mamy stanowisko:

- A. Dobrowolskiego: "Obrachunki 25-lecia", Tatarnik nr 1/1971,
- J. Nyki: "Sprawy najboleńsze", Tatarnik nr 2/1971,
- Komisji Statutowo-Organizacyjnej Zjazdu,
- Zarządu Głównego KW decydujące w sprawie – "prace kontynuować".

BMN – Co działo się dalej?

AJ – 18.04.1972 zostałem wraz z wiceprezesami KW przyjęty przez Przewodniczącego GKKFiT dr Włodzimierza Reczka. Temat rozmów: reorganizacja.

- W maju i czerwcu 1973 roku nastąpiła reorganizacja polskiego sportu. GKKFiT czekał na decyzje KW i czasowo pozostawił stan dotychczasowy.
- 23.11.1973 – wizyta w GKKFiT Janik-Paczkowski – ustalenie zasad reorganizacji.
- 25.11.1973 – posiedzenie plenarne ZG KW – postanowiono, że zgodnie z ustaleniami pomiędzy ZG KW a GKKFiT, na najbliższym Walnym Zjeździe nastąpi przekształcenie KW w związek wysokogórski. I to było właściwie wszystko.

BMN – A sam Zjazd i decyzja ostateczna?

AJ – Zjazd miał miejsce w Zakopanem – jak wiadomo – 2 i 3 marca 1974 roku. Warto przytoczyć za Tatarnikiem (nr 2/1974, s. 58) opis tego historycznego wydarzenia:

"Zjazd przystąpił następnie do najbardziej ważkiego punktu w całym programie – dyskusji nad przekształceniem Klubu w związek sportowy. Adam Dobrowolski zreferował pokrótce przebieg obrad Komisji Statutowo-Organizacyjnej, która doszła do wniosku, że – przy całym sentymencie i przywiązaniu do nazwy i dorobku KW – konieczne jest przeprowadzenie reformy struktury organizacyjnej polskiego sportu wysokogórskiego i to przez przekształcenie Klubu w Polski Związek Alpinizmu, zgodnie z uprzednio opracowanym i akceptowanym przez GKKFiT projektem statutu. W ożywionej dyskusji zabralo głos kilku nastu delegatów i gości. Wątpliwości dotyczyły strony prawnej aktu przekształcenia, brzmienia nazwy organizacji (pierwotna wer-

sja brzmiała: "Polski Związek Wysokogórski"), przyszłego statusu Kół KW, miejsca w PZA dla alpinizmu niewyczynowego itp. Jako ostatni zabrał głos dyrektor Izydorczyk, który obszernie skomentował projekt zmian, podkreślając z naciskiem, że przewodnim motywem reorganizacji jest dobro polskiego ruchu wysokogórskiego, o które ostatecznie wszystkim chodzi. Adam Dobrowolski odczytał tekst zaproponowanej przez Komisję Statutowo-Organizacyjną uchwały, która została przez Walny Zjazd przyjęta 56 głosami przy 2 przeciwnych i 5 wstrzymujących się:

"Walny Zjazd Delegatów Klubu Wysokogórskiego uchwała:

- 1) Zmienia się nazwę i statut Klubu Wysokogórskiego zgodnie z załączonym tekstem.*
- 2) Majątek Klubu Wysokogórskiego staje się majątkiem Polskiego Związku Alpinizmu.*
- 3) Do czasu przekształcenia się kół Klubu Wysokogórskiego w samodzielne jednostki organizacyjne, działają one na prawach oddziałów terenowych Polskiego Związku Alpinizmu."*

Sic transit gloria mundi!

BMN – Nastąpiła równocześnie zmiana prezesa – już pierwszego prezesa Polskiego Związku Alpinizmu.

AJ – Tak – instynkt społeczny Kolegów – delegatów na Walny Zjazd nie zawiódł. Nastąpiła kolejna, konieczna, właściwa i niezwykle owocna zmiana pokoleń. Ja miałem wówczas już 55 lat. Miałem 50 lat, gdy w roku 1969 zastąpiłem długoletniego prezesa kol. Czesława Bajera, co też było zmianą pokoleń. Mój następca, Andrzej Paczkowski, był prezesem ponad 20 lat, co chyba nie wymaga żadnego komentarza. To był właściwy i najlepszy wybór.

BMN – W prywatnych rozmowach opowiadał mi Pan różne wesołe przygody z tamtych dawnych czasów. Czy mógłby Pan – na koniec – dla urozmaicenia – przytoczyć niektóre z nich?

AJ – Opowieść pierwsza: Nie wiem już dokładnie, kiedy to było, ale sądząc z faktu, że można było po Tatrach chodzić, to przypuszczam, że było to w latach sześćdziesiątych.

Nasz przysły prezes Czesław Bajer był wtedy wiceministrem Handlu Zagranicznego i służbowym szefem służb celnych. Przeniesienie drobiazgów przez granicę było wtedy powszechne, tak jak powszechne były braki. Rzecz działa się na Przełęczy pod Chłopkiem. Spotkała się tam grupa starszych panów i naszych chłopców. Nasi czekali na umówionych Czechów, mieli jakiś "towar". Kiedy nie mogli się doczekać, jeden z nich podszedł do kol. Bajera i poprosił o pokazanie Czechom – gdy przyjdą – pod jakim kamieniem oni "towar" schowali. Opowiadał mi to sam kol. Bajer. Oczywiście grzecznie odmówił i uzasadnił. Załatwił to inny ze starszych panów. To się nazywa mieć pecha.

Opowieść druga: Schronisko pod Gerlachem. Nasz letni kurs dla zaawansowanych. Gerlach nazywał się wtedy Stalinov Štit i na szczycie była "tabulka" z odpowiednim napisem, często zapaskudzana i nawet obcinana (cztery śruby). Do sypialni, gdzie rano przebywał jeszcze nasz kurs, wszedł chatar i powiedział: "*Zase Poliaki zhyuli tabulku*". Nasi się obruszyli: "*A skąd wiesz, że to zrobili Poliaki?*" Chatar nato: "*To udielaju len Poliaki*".

Opowieść trzecia: Gerlach – obok Zadni Gerlach. Gerlach urzędowo przemianowano na Szczyt Stalina, Zadni Gerlach pozostał. Czy nie można było: Zadni Szczyt Stalina???

Opowieść czwarta: Zrobiliśmy z Inką drogę na ten Zadni Gerlach. Szukamy pod kamieniami puszkę, aby wpisać nasze wejście. Otwieram książeczkę szczytową i czytam przedostatni wpis: "*Dekujeme lidovej vlady za kras našich Tatèr*". Następny, ostatni wpis Czechów normalnie myślących: "*Dalibyšte pokoj aspon w horach*".

BMN – Patrząc z perspektywy lat co ceni sobie Pan najbardziej z tamtych czasów?

AJ – Klub Wysokogórski i góry, które mi dał, były dla mnie i dla mojej Inki przez przeszło 20 lat "sposobem na życie". Dał mi on wielu przyjaciół, "przyjaciół na linie" w

sensie dosłownym jak i przenośnym. Dwóch przyjaciół dał mi "na całe życie": Andrzeja Zawadę i Józefa Nykę. Dał mi ich przyjaźń, serdeczność i pomoc. Byli mi najbliżsi. Mogłem ich cenić i podziwiać: Andrzeja za odwagę stawiania i realizowania wysokich celów i za jego siłę przebicia. Józka, tytana pracy i kompedium wiedzy o tym co działo się i dzieje się w alpinizmie światowym, za jego rzetelność i prawość w każdym słowie i na każdym kroku.

BMN – Jaki był Pana ostatni najwyższy osiągnięty szczyt?

AJ – Pozwolę sobie zażartować, mam dziś przecież 78 lat! To Pico Espejo 4765 m, bezpośredni sąsiad najwyższego szczytu Wenezueli – Pico Bolivar 5007 m. Wyjazd kolejką linową z Meridy, podobno najwyższej kolejki na świecie, wybudowanej przez Francuzów w roku 1958. Różnica poziomów między pierwszą i ostatnią stacją – 3196 m, czas przejazdu – 47 minut, kilka przesiadek. Nic dziwnego, że przy tak szybkiej zmianie wysokości na każdej przesiadce ludzi ubywało. A wagoniki wielkie jak autobusik. Tęskno było na Pico Estejo – Pico Bolivar był tak blisko... w zasięgu ręki... a widok na Andy cudowny!

BMN – A góra następna?

AJ – A jednak mam marzenia... Na Mont Nebo w Jordanii, gdzie jest podobno grób Mojżesza, już byłem. Nie byłem natomiast na Górze Synaj – górze Mojżesza (Gebel Müsa 2285 m) na Synaju egipskim. Wejście ciekawe i do zrobienia. Do klasztoru św. Katarzyny (1500 m) dojeżdża się autobusem, potem na wielbłądzie aż do schodów, 2500 wykutych z skały stopni na szczyt. Wykuł je jakiś zakonnik wykonując swe ślubowanie. Według tradycji, na szczycie Mojżesz otrzymał tablice z dekalogiem. Niestety polskie grupy jadące do Egiptu nie chcą na Synaj, w góry.

BMN – Życzę Panu spełnienia tego górskiego marzenia i dziękuję za rozmowę.

"Moi drodzy! Kiedy życie położy się cieniem pomiędzy wami i waszymi górami, kiedy lata napęcznieją natłokiem kolejnych zdarzeń, wspomnieniami dróg przebytych, ludzi napotkanych, przyjaciół straconych, rąk wyciągniętych, słońca na szczytach i deszczu w ścianach..." – spotkajmy się jeszcze raz."

Barbara Morawska-Nowak

Nasze spotkania

Myśl organizowania spotkań klubowych pojawiła się już w momencie spodziewanej reorganizacji Klubu Wysokogórskiego. Stało się to na wiosnę 1972 roku, gdy kilku kolegów spotkało się pod drogą Marcinkowskiego w dolince Kobylańskiej.

Pierwszy na dużą skalę Zlot zorganizowali pod patronatem Pokutników Jadzia i Janek Słupscy w "Szańcu" u Rościszewskich w dol. Będkowskiej w dniach 28 i 29 maja 1977 roku. Wszyscy Pokutnicy jeszcze żyli i byli, żyli także jeszcze i gościli nas starzy państwo Rościszewscy. Część towarzystwa gościła u Brandysów pod Sokolicą po starej przyjaźni z dawnych lat. Wieczorem rozpalono ognisko, a Karol Jakubowski powitał zebranych i następnie rozdał własnego projektu i wykonania pamiątkowe haczyki z napisem "Pokutnik". Pamiętam długi szereg namiotów wzdłuż lasu. Zjechało wówczas ok. 100 osób. Wielu kolegów przywiozło swe latorośle, ja też przywiozłam jedną z córek. Był też wówczas, chyba pierwszy i ostatni raz na naszych zlotach Józek Nyka z córką Moniką. Byłam wówczas tylko uczestnikiem i nie pamiętam szczegółów organizacyjnych. Postanowiliśmy spotkać się znów za pięć lat.

Stan wojenny zakłócił rytm; II zlot Pokutników został zorganizowany dopiero w dniach 26 i 27 maja 1984 roku. Jak poprzednio – u Rościszewskich w dol. Będkowskiej. Termin (ostatni weekend maja) i miejsce stały się tradycyjne. Przejęłam wówczas sprawy orga-

nizacyjne Zlotu, któremu patronowali Kazimierz Paszucha i Karol Jakubowski. Jak zawsze uważająca Krysia Heller obawiała się, że faktem tym będą urażeni poprzedni organizatorzy, jak dotąd nie zauważyłam tego. Hasłem zlotu był cytat z książki Andrzeja Wilczkowskiego: "Miejsce przy stole", która stała się naszym bestsellerem klubowym i w której zbierałam autografy uczestników.

Nasz kolega red. Babiński tak opisywał ten Zlot w "Echu Krakowa": *"II Zlot Pokutników (26–27 maja) zgromadził mimo niepewnej pogody przeszło 200 uczestników. Przy ognisku obozowym, które rozpalono o godz. 22, po inauguracyjnym przemówieniu prezesa organizacyjnego Karola Jakubowskiego i rozdaniu (wykonanych przez niego osobiście – przyp. mój) pamiątkowych znaczków "Pokutnik", ożyły wspomnienia z dawnych lat tak, że ognisko zagaszono dopiero o 6 rano. W drugim dniu Zjazdu, starsi pokutnicy mogli zaznaczyć się z dorastającym pokoleniem wspinaczy. Oto bowiem w tych samych dniach w Dolinie Będkowskiej odbyły się IV akademickie mistrzostwa Krakowa we wspinaczce skalkowej... Organizatorem zawodów był Krakowski Akademicki Klub Alpinistyczny... Opiekunem sekcji wyczynowej był Marian Bała."*

Młodzież na odmianę biwakowała w bocznej dolince pod "Dupą Słonia", tam też zgromadziliśmy się licznie na drugi dzień jako obserwatorzy zawodów.

III Zlot Pokutników w dol. Będkowskiej – 23–24 maja 1987 roku. Przy ognisku Karolek jak zwykle wyczytuje z listy nazwiska koleżanek i kolegów, rozdaje kolejną serię “haczyków”. Specjalne mini-haczyki” własnej produkcji rozdaje też kolegom Adaś Górka.

Lista nazwisk ze zlotu na zlot poszerza się na całe środowisko klubowe, które przewinęło się przez skałki. Niestety ubywa też nazwisk na tych listach.

I tak na II Zlocie nie spotkaliśmy już Mariana Paullego, Wacka Nowyka, Adama Sokołowskiego i Marka Sobolewskiego, którzy się “minęli”, na III-cim – Mieczysława Babińskiego, Włodzimierza Kota, Władysława Warchała, Barbary Kozłowskiej, Hanki Wanickiej, Władysława Komusińskiego, Ludwika Gorskiego. Kaziu Janocik chory w szpitalu, przysłał nam wino, abyśmy wypili za jego zdrowie... Wkrótce też odeszedł. Na III Zlot Pokutników przyjechał jeszcze Bolesław Chwaściński (nie czuł się już na siłach uczestniczyć w następnym Zlocie w roku 1990). Odeszli państwo Rościszewscy, ale na łączce przed Szańcem gości nas zawsze serdecznie ich syn – Jurek. Przy kolejnym Zjeździe obozowaliśmy na zgłiszczach Szańca, który odbudowuje się, ale to już nie ten, co był...

Długo niosą się po dolinie nasze śpiewy, w repertuarze m.in. piękne piosenki słowackie, przyswojone przez kolegów w czasie wypadów “na czarno” w Tatry Słowackie w latach pięćdziesiątych. Poza nielicznymi, które się szerzej upowszechniły, znane tylko i śpiewane w naszym, klubowym środowisku.

Kolejne Zloty Pokutników w dol. Będkowskiej odbyły się: IV – 2–3 czerwca 1990 r., V – 30–31 maja 1992 r., VI – 4–5 czerwca 1994 r. i VII – 25–26 maja 1996 r.

Po III Zlocie powstała inicjatywa, aby jeszcze bardziej zacieśnić stare koleżeńskie więzy i spotykać się częściej. W sprawie tej zwrócono się do Zarządu Klubu Wysokogórskiego – Kraków z pismem następującej treści:

“Niżej podpisani, reprezentując krakowskie środowisko taterników – byłych i aktualnych członków Klubu Wysokogórskiego, pragną

zainicjować powstanie Koła Taterników – Seniorów KW. Wyżej podaną nazwę traktujemy oczywiście jako propozycję i hasło wywoławcze do powstania przy tutejszym Klubie takiej organizacyjnej jednostki. Mogłaby ona zespalać starszych wiekiem i doświadczeniem taterników, mających za sobą długoletni staż w charakterze instruktorów, trenerów, ratowników górskich, przodowników turystyki górskiej i narciarskiej oraz staż w działalności organizacyjnej we władzach Klubu. Celem naszym jest integracja starszego środowiska taternickiego, kultywowanie tradycji dawnego Koła Krakowskiego KW przy Polskim Towarzystwie Tatrzańskim, utrzymywanie ciągłości kontaktów poprzez możliwość odbywania regularnych spotkań, organizowanie wspólnej działalności wysokogórskiej w lecie i w zimie, dalsze rozwijanie wzajemnych więzów koleżeńskich przez kontakt z górami i z ludźmi gór...”

Pod inicjatywą podpisali się Adam Bułat, Maria i Jerzy Gustkiewiczowie, Danuta i Karol Jakubowscy, Barbara Morawska-Nowak, Antonina i Juliusz Szumscy, Stanisław Urbański.

Zarząd Klubu Wysokogórskiego Kraków inicjatywę zaakceptował. 4 maja 1988 roku w klubowym lokalu przy ul. Długiej 34/8 na pierwszym spotkaniu Koła Taterników-Seniorów zebrało się 64 osoby...

I tak spotykamy się na Długiej regularnie w pierwsze środy miesiąca, czasem tylko na pogawędce, czasem na herbatce, od czasu do czasu ktoś z nas dzieli się swymi wrażeniami z wyjazdów w różne strony świata wyświetlając slajdy. Najliczniejsze są spotkania Barbarkowe w grudniu i styczniowe klubowe Oplątki. Wszystkie spotkania w lokalu i w plenerze i związane z nami wydarzenia rejestrowane są w prowadzonej przez Julego Szumskiego Kronice, która zaświadcza o naszej działalności.

Tymczasem pomysł organizowania spotkań “kupił” Polski Związek Alpinizmu. Na koniec sezonu na obozowisku taternickim “Rąbanisko” pod Halą Gąsienicową odbyły się kolejno w roku 1988, 1989 i 1990 spotkania taternickich

Old Boy'ów. Uczestnikom udostępniono nieodpłatnie namioty. W programie było zawsze "party" barszczykowo-kielbaskowe. Z Wiktorówek przyjeżdżał swym jeepem Ojciec Leonard Wawrzyniak i odprawiał dla nas mszę św. pod gwiazdami. Potem odbywały się tradycyjne śpiewy i pogwarki. Nazajutrz od rana tubalnym głosem zapraszał nas na herbatkę i owsiankę Zbyszek Skoczylas, który rządził wówczas na obozowisku utrzymując na nim wzorowy, wojskowy iście rygor i porządek; pomagały w tym dowcipne instrukcje rozmieszczone na obozowisku. Wszystko musiało być na swoim miejscu. Bogna testowała w latrynach bakterie, które pożerały fekalia. W ciągu dnia uczestnicy rozchodzili się na wspinaczki lub spacer. W roku 1990 spotkanie odbyło się już z końcem sierpnia, a na Rąbanisku pojawił się nowy "Gazda" – Leszek Malanowski z Poznania.

7 listopada 1992 roku po kilkuletnim remoncie otwarte zostało schronisko PTTK nad Morskim Okiem. Uczestniczyłam w tym otwarciu, wiele tam było osób, ale żadnej reprezentacji taternickiej. Andrzej Łapiński narzekał, że nie było z kim pośpiewać na dawną nutę. Remontując schronisko udało się zachować jego wystrój zewnętrzny i wewnętrzny. Pomyślałam wówczas, że to schronisko tak związane z naszym środowiskiem może stać się najodpowiedniejszym miejscem naszych spotkań. Coprawda nie było już ani Łaptasia ani Pani Dziuni, ale gazdująca obecnie ich synowa Marysia robiła co mogła aby dobrą tradycję schroniska podtrzymywać.

Pomysł swój zrealizowałam i rozesłałam po kraju wici. I Zlot Taterników-Seniorów miał miejsce w dniach 28–30 maja 1993 roku. Zgromadził wg. wpisów 105 osób, a może i więcej się przewinęło. Z okazji Zlotu został wydany śpiewnik: PIOSENKI SŁOWACKIE I CZESKIE ŚPIEWANE PRZEZ POLSKICH TATERNIKÓW W LATACH 1950–1965. 60 piosenek spisali z pamięci (nie oglądając się na ortografię) Jurek Pilitowski oraz Chosia i Marek Stefańscy. Zrobili to w dalekiej Kanadzie i przysłali, przepisałi je i powielili Marian

Bała i Barbara Morawska-Nowak. W sobotę na werandzie schroniska została odprawiona przez Ojca Leonarda Msza św., a następnie była uroczysta, wspólna kolacja – kulminacyjny punkt programu zlotu.

Na honorowych miejscach zasiedli goście zagraniczni: Andrzej Manda z żoną, Jerzy Worytkiewicz oraz Juraj Cenker z Bratysławy i małżeństwo Raczów, przyjaciół z za południowej granicy jeszcze od czasów słynnej akcji Waga (mieszkają obecnie w Szwajcarii). Coś na tym zlocie odchodziło bezpowrotnie w przeszłość na naszych oczach... rozebrany został "Kurnik", bliski wielu "obiekt", w którym za przysłowiową złotówkę (stara) mieszkano przez całe letnie sezony...

Mandowie już wcześniej przyjeżdżali z za oceanu w dolinki. Andrzej po raz pierwszy od wyjazdu z kraju przyjechał na pogrzeb swego przyjaciela "na linie" Erasia Jończyka – wpisał wówczas do klubowej kroniki: *"po 25 latach wreszcie wśród przyjaciół..."*

Kolejny zlot w Morskim Oku zamierzałam zorganizować dopiero po dwóch latach, na zmianę ze Zlotem Pokutników w dol. Będkowskiej.

Nie pogodziła się z tym Ala Świerzyńska "Mówna" z Warszawy i wraz z Zofią Jackowską "Zetką" zorganizowały II Zlot w Morskim Oku w dniach 7–9 października 1994 roku. Byli jednak tacy, którzy znów chcieli przyjechać do Polski na Zlot w czerwcu.

Cóż było robić? Po ośmiu miesiącach zorganizowany został III Zlot w Morskim Oku (w dniach 2–4 czerwca 1995 roku). Zlot zgromadził znów ponad 100 osób, w tym rekordową liczbę kolegów z zagranicy. Byli znowu Mandowie i Jerzy Worytkiewicz, a po raz pierwszy na naszym Zlocie Krystyna Konopka (USA), Andrzej Sławiński "Negro" (Kanada) i Henryk Bednarek "Parkins" (Austria). Byli znowu wierni nam Raczowie i Juraj Cenker oraz przedstawiciele zaproszonych na zlot taterników słowackich: Julius Parak i Juraj Šuna. Tym razem (już zresztą po raz drugi) Mszę św. w budynku gospodarczym, przemianym "nowym Kurnikiem" odprawił ks.

Antoni Kluska. W czasie kolacji ogłoszono, że pierwszy weekend czerwca będzie stałym terminem naszych spotkań (jeszcze przed nawałą sezonu letniego w Tatrach). Rozprowadzane były tym razem BALLADY TATER-NICKIE, zebrane i powielone przez Barbarę Morawską-Nowak.

W czasie zlotu zdarzył się niemiły wypadek – w czasie podejścia na Wrota Chałubińskiego poślizgnęła się i zjechała głową w dół kilkadziesiąt metrów Bogna Skoczylasowa. Na szczęście przygoda dobrze się skończyła dla Bogny. Podobny "zjazd" zakończył się tragicznie dla Zbyszka Rubinowskiego półtora roku później, który pierwszy powiadomił nas o wypadku Bogny i wezwał pogotowie...

Przytoczę w tym miejscu tekst napisany po III Zlocie przez Andrzeja Wilczkowskiego (Góry i Alpinizm 5[17]/95):

"Dopiero ten trzeci zjazd Tatarników z zaawansowanym nieco wieku... uświadomił mi... że jedynym miejscem na takie zjazdy może być Morskie Oko. Wcześniej było kilka zjazdów "Pokutników" w podkrakowskich skałkach, ale mimo iż wspinałem się trochę w tych "Dolinkach", nie czułem się jednak u siebie. Tam naprawdę u siebie byli tylko Krakowiacy, reszta natomiast, nawet uhonorowana najserdeczniejszymi zaproszeniami, to jedynie goście. W Morskim Oku jesteśmy wszyscy u siebie w domu... stało się tak wyłącznie dzięki rodzinie Łapińskich i części personela, która nas jeszcze ciągle pamięta.

*Jest to bodaj ewement na miarę światową, ta ciągłość przyjaźni, jaka nawiązała się między tatarnikami a, że tak powiem "schroniskiem" już w drugim pokoleniu. Przecież jedynie dzięki **Marysi Łapińskiej** i jej heroicznej walce, żeby było "tak samo" możemy siedzieć w jadalni odtworzonej po remoncie tak dokładnie, że nie czujemy żadnego zgrzytu,*

*jedynie niektórym trochę żal pieca... Pojawiająca się na sali **Joasia Łapińska** ze swoim uroczym uśmiechem – tylko do zakochania – przypomina nam, jako żywo, **Panią Dziunię**... **Andrzej Łapiński** jest po prostu jednym z nas – no może trochę młodszym ...*

*Po drugie. ...to tylko **Basi** przyszło do głowy, że przecież możemy się spotykać i ze wzruszeniem przyglądać się sobie nawzajem, przypominając wspólne, głębokie przeżycia na wspinaczkach, czy choćby tylko wspólne życie w schronisku. Tylu nas przecież jeszcze zostało i żaden na to nie wpadł – tylko **Basia!***

I w końcu – po trzecie. Dopiero właśnie na tym zjeździe uświadomiłem sobie, że już nigdy potem, przez całe czterdzieści lat, nie udało mi się przebywać w takim towarzystwie... te nasze zjazdy... to bodaj jedyne w swoim rodzaju misterium zupełnie bezinteresownej przyjaźni... Przyjeżdżajcie. Choćby na czworakach... Naprawdę, każdy znajdzie tu swoje miejsce przy stole".

W jubileuszowym roku **60-lecia powstania Klubu Wysokogórskiego**, w odstepie tygodnia odbyły się dwa zloty: w dol. Będkowskiej (25–26.05.1996) i w Morskim Oku (31.05–2.06.1996). Każdy z nich zebrał po ok. 70 osób, z czego ok. połowa wzięła udział w obu spotkaniach. I znów spotkania udały się, nie udało się jedynie wydać tej książeczki, którą obecnie otrzymujecie.

Spotykamy się znowu w Morskim Oku, **już po raz piąty**, by cieszyć się górami i sobą. Nie spotkają się już tu nigdy z nami Maciek Ziętkiewicz, Zdzisław Przybyłkiewicz, Jerzy Berski "Jumbo", Jerzy Milewski, Zbyszek Rubinowski, Krysia Ziobrowska...

Może kiedyś wszyscy znajdziemy dla siebie miejsce przy stole nad niebiańskim Morskim Okiem...

Morskie Oko, 24 maja 1997 roku

SPIS TREŚCI

Powstanie Klubu Wysokogórskiego PTT	5
Pokutnicy i Krakowska Szkoła Wspinaczkowa <i>Stanisław Biel</i>	10
Rozważania jubileuszowe czyli jak się rodziło taternictwo poznańskie <i>Ryszard Wiktor Schramm</i>	35
Ostatni Prezes KW <i>Z Antonim Janikiem rozmawia Barbara Morawska-Nowak</i>	39
Nasze spotkania <i>Barbara Morawska-Nowak</i>	54

ŚPIWORY PUCHOWE

na wakacje pod namiotem
na wyprawę pod Everest

*"Nasz doskonały sprzęt puchowy pomógł nam w zdobyciu,
po raz pierwszy w historii światowego alpinizmu,
Mount Everest zimą"*

Andrzej Zawada

tatratop®
made in Poland

doświadczenie i jakość

<http://pza.org.pl>